Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

CZESŁAW MIŁOSZ LAUREATEM NAGRODY NOBLA

Urodził się w 1911 roku w Szetejniach na Litwie. Ukończył prawo na uniwersytecie wileńskim. Debiutował w 1931 roku. Był członkiem grupy poetyckiej „Zagary". Wojnę spędził w Warszawie, publikując w prasie konspiracyjnej. Po wyzwoleniu pracował w „Twórczości", potem pełnił funkcję attache kulturalnego w Waszyngtonie (1945—1949) oraz w Paryżu — 1950 r. Od 1958 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych.

Jest autorem szeregu tomów poetyckich, powieści, szkiców, esejów i przekładów. Jego twórczość cechuje historiozoficzna zaduma nad zagrożonym losem ludzkim i czysta konstrukcja wiersza.

KTÓRY SKRZYWDZIŁEŚ

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić — narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.

kamena

LUBLIN 26 X 1980 NR 22 (716) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Antek opuść zasuwę bo się zbiornik przeleje...

Stanisław Strelnik

STARA oczyszczalnia z trudem już teraz połyka miejskie ścieki, oddając je, ledwo podczyszczone, Bystrzycy, która od krańców Lublina do ujścia cuchnie i umiera, daremnie oczekując na reanimację. Pół biedy, jeśli wiatr wieje od strony miasta, ale gdy zmieni kierunek na przeciwny, nieprzyzwyczajonemu trudno wprost wytrzymać choćby na osiedlu Kalinowszczyzna.

Bystrzyca schorzenie swe będzie musiała leczyć przez dziesiątki lat, albo wiecznie, jeśli w najbliższych latach nie ruszy nowa oczyszczalnia w Hajdowie, największa, jak twierdzą fachowcy w środkowo-wschodniej Europie. (Większa od niej zbudowana zostanie dla Warszawy, ale jej projekty nie zeszły jeszcze z desek kreślarskich). Bez inwestycji w Hajdowie Lublin po wybudowaniu całego osiedla „Czuby" utonie we własnych nieczystościach!

Opóźnienia oddania oczyszczalni w Hajdowie (a wiele faktów świadczy, iż termin ustalony na rok 1983 dotrzymany nie będzie) zahamuje budowę znacznej części wspomnianego osiedla, nie mówiąc o tych, które są przewidziane w następnej kolejności. Co to może oznaczać, doskonale wiedzą władze miasta, które już teraz nie są w stanie rozładować coraz dłuższych kolejek oczekujących na mieszkania i skrócić czasu oczekiwania poniżej 10 lat. Tak więc z prowadzoną budową oczyszczalni wiąże się nie jeden, lecz wiele problemów miasta oraz jego mieszkańców, i trudno się dziwić, że została ona uznana za inwestycję szczególnie ważną dla gospodarki narodowej, a jej priorytet usankcjonowano Uchwałą Rządu nr 222 z 4 grudnia 1975 roku. Lublin stał się więc szczęśliwym miastem, ponieważ pierwszy w kraju miał otrzymać obiekt nowoczesny, który powinien

Dokończenie na str. 4—5

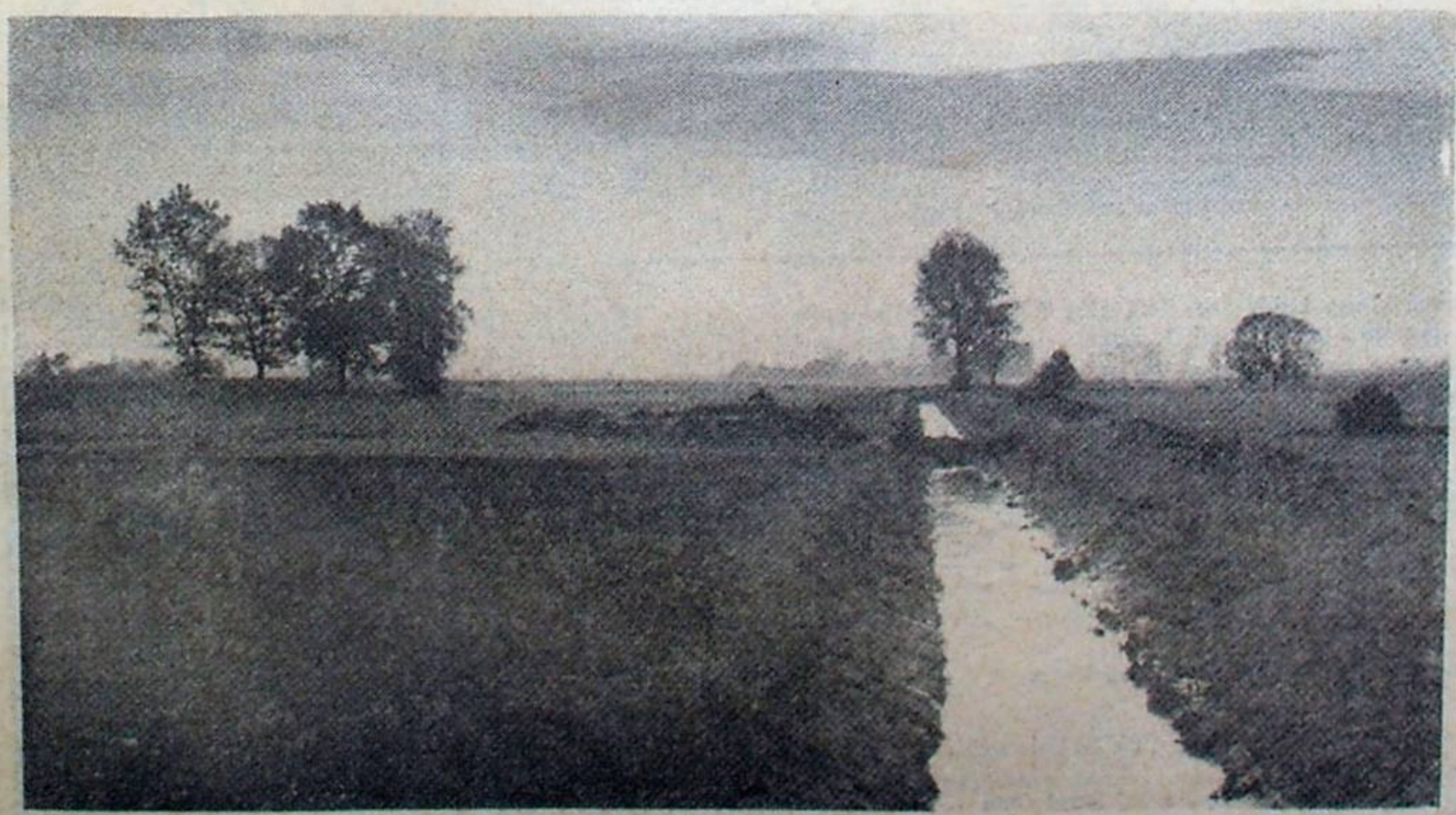

Krajobraz ściekowy. Fot. Waldemar Stępień

W kieszeni sportowców

— Wśród robotniczych postulatów, chociaż nie na pierwszych miejscach, pojawiły się żądania likwidacji fikcyjnych etatów dla sportowców. Postulaty odkryły powszechnie znaną „tajemnicę" naszego sportu; spowodowały również pociągnięcia, mające zreformować tę dziedzinę życia. Nie jest ona obecnie najważniejsza, rzecz jasna, ale wciąż angażuje wiele emocji i pieniędzy. Nie chcemy się „czepiać", chcemy usłyszeć kilka rzetelnych wyjaśnień — zwracamy się do kierownika Fabrycznego Klubu Sportowego „Avia" w Świdniku, RADOSŁAWA RUBAJA.

— Reforma sportu jest na pewno potrzebna. Weźmy przykład piłki nożnej. Dwa lata temu weszły przepisy w sprawie wynagrodzenia I i II ligi — miesięczne zarobki i premie zawodników. U nas zawodnicy piłki nożnej są oczywiście zatrudnieni w WSK i tam nie pracują. Tak jest wszędzie w wyczynie. Najczęściej mają IX grupę zaszeregowania, najwyższą dla pracowników fizycznych, przynajmniej w naszym zakładzie. Dwóch zawodników, jeden magister, drugi technik, mieli stawki 4,6 tys. zł i dziesięć procent premii. Natomiast ci „fizyczni" pobierali 4,3—4,9 tys. zł; najdłużej pracujący mieli — chodzi o sytuację sprzed dwóch lat — dodatek za wysługę lat, ale 5 tys. zł to było maksimum. Wiedzieliśmy, że wówczas nasi piłkarze zarabiali najniżej w tej klasie rozgrywkowej. Niektóre kluby, nawet stojące niżej od nas, zarabiały więcej. U nas nie było żadnych półetatów. Przepisy sprzed dwóch lat ustawiły górne granice zarobków w II lidze na 8 tys. zł, czyli przy pensji zawodnika w zakładzie 5 tys. zł, klub dopłacał mu 3 tys. zł. Niektórzy nie dostawali górnej granicy, ale np. 6 tys. zł. Po spadku drużyny piłkarskiej z II ligi jeszcze przez trzy miesiące mogliśmy tak płacić. Teraz trudno wyczuć, co będzie nowego, ale już zasięgano opinii naszego prezesa i księgowego w PZPN odnośnie nowych stawek zatrudnieniowych i premiowych. Boimy się, co będzie za miesiąc.

— Dlaczego się boicie?

— Bo każdy pracownik, który miał 8 tys. zł, jak mu się da 5 tys.

Dokończenie na str. 10

z notatnika

18.X. W „Delikatesach" kolejka po wódkę jak przed świętami. Obawiają się, że podrożeje? Robią zapasy przed poniedziałkowymi imieninami Ireny i Jana?

Daniel Passent i Andrzej K. Wróblewski z „Polityki" ostro pogadali sobie z Leszkiem Długchym, Marianem Jurczykiem, Jarosławem Mroczkiem i Andrzejem Zielińskim — działaczami Międzyzakładowej Komisji Robotniczej ze Szczecina. Dziennikarze zapytali: „Jak byście zareagowali, gdyby rząd chciał podnieść cenę alkoholu, żeby ograniczyć plagę pijaństwa, i zwrócił się do was o współdziałanie i poparcie?" Jurczyk odpowiedział: „Tak! Bylibyśmy za tym. Podnieść ceny, zamknąć sklepy alkoholowe w godzinach pracy. Zdecydowanie. Nie można przecież dopuścić do tego rozpijania narodu". Na kolejne pytanie: „Czy nie lęka się pan, że straci pan popularność wśród niektórych robotników, kiedy przeczytają te słowa?" odpowiedział już Zieliński: „Nie sądzę. Jeden czy drugi może pokpi, że Jurczyk taki święty, ale nawet ci, co piją, zdają sobie sprawę, że to trzeba zmienić".

Gdyby i w innych sprawach była tego rodzaju jednomyślność (bo i ja nie mam wątpliwości co do tego, że alkohol podrożeć powinien), więcej róż leżałoby na wspólnej drodze. Piszę w s p ó l n e j, bo taką ona być musi.

Rozdyskutował się nasz naród. Na zebraniach — jakiekolwiek by one były — padają słowa ostre, bardzo ostre, wydaje się niekiedy, że kolejny dyskutant chce wyżej podnieść barierkę. Pojaśniało w oczach. Zgoda, pojaśniało. Wiemy, dlaczego. Warto jednak pamiętać, że tylko Kosmos pozbawiony jest granic.

O b. prezesie Komitetu do spraw Radia i Telewizji (Kto to wymyślił taką nazwę? W odniesieniu do Szczepańskiego słowo k o m i t e t, czyli zespół, podkreślam — zespół, osób powołanych do wykonania określonych zadań, brzmi groteskowo: Komitet — to ja!) sporo już powiedziano i napisano, ale wszystko jeszcze przed nami! Zdaję sobie sprawę, że łamał on charaktery ludzi, kpił z prawa, stanowił swoiste państwo w państwie. Etc., etc. Napisałbym, że był gangsterem, użyłbym i innych określeń. Stoję jednak na stanowisku, że mogę o tym napisać dopiero wówczas, jeśli sąd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wypowie w tej sprawie ostatnie słowo.

Oczywiście Szczepański urasta tu na miarę symbolu. Toczy się już proces Tyrańskiego. Mały człowieczek, który obracał milionami, a może i miliardami zielonych. Tyle lat. Dlaczego? Jaki mechanizm mu to umożliwiał? Pytania, pytania, które należy mnożyć.

Wielki (tu cudzysłów) Szczepański. Wielki (tu cudzysłów) Tyrański. A w ich cieniu mały Iksiński, mały Ygrekowski, którzy również budowali swój prywatny socjalizm. Pełne usta sloganów, miejsca w prezydiach, lekceważenie wobec podwładnych i ukłon wobec przełożonych.

O tym wszystkim łatwo dzisiaj mówić. Tych wszystkich łatwo dzisiaj piętnować. Kisiel w „Tygodniku Powszechnym" pisze, ile mu to słów skreśliła cenzura. I cenzura to puszcza. Kisiel, cokolwiek bym o nim myślał, jest jednak dla mnie bardziej, rzekłbym, strawny niż inni felietoniści, publicyści, którzy w sierpniu — wrześniu przeszli gwałtowną metamorfozę i chwycili wiatr w żagle.

Oczywiście o Szczepańskim (nie znam go osobiście, czego bynajmniej nie żałuję, raz go tylko „na żywo" oglądałem w czasie pewnej narady, nie wysiedział zresztą do końca, czemu się nie dziwię...), o Tyrańskim i im podobnych można nieskończenie. I trzeba. Po to, aby za ileś tam lat nie zjawili się identyczni o innych nazwiskach. Ale to tylko jedna stona medalu.

Szanowni Państwo, moi drodzy Czytelnicy, którzy nie od dzisiaj, mam nadzieję, ten mój notatnik czytacie. Dostanie za swoje Szczepański, dostanie Tyrański i podszczepańscy, podtyrańscy, a może i nad... Ale czy z tegoż to powodu zajdziemy do pierwszego lepszego sklepu mięsnego i bez kolejki kupimy kilogram schabowego?

Ba! Schabowego! Wicepremier mówił dzisiaj w telewizji, że będziemy mieć w tym roku o tyle to, a tyle mniej, bodaj milionów ton, buraków cukrowych i kartofli. Najwyższą godność kościelną piastuje Polak, ale Niebo nie było w tym roku łaskawego dla kraju, w którym żyć mi przyszło. Wiosenne i jesienne powodzie, deszczowe lato. Można określić cenę na ziemniaki, urzędową cenę, ale nie zawsze Urząd w postaci PIH-u, czy podobnych ciał kontroli będzie w stanie skłonić rolnika, by tej ceny przestrzegał. Idę na przykład na targ i widzę kolejkę po kartofle. Są, ale nikt ich nie sprzedaje. Ten, kto nimi handluje, czeka, aż szanowna PIH-ówka się ulotni, bo wie, że i tak ziemnych płodów nie zawiezie z powrotem.

Błędne koło? Może. Ale są i pewne prawa ekonomiczne. Poczytajmy Marksa. Stary, ale jary.

19.X. Obejrzałem wczoraj wieczorem w telewizji filmowy reportaż o budowie huty Katowice nakręcony przed trzema laty i skierowany karnie do archiwum. Nie mieścił się w ramach tego, co zwykło się teraz nazywać propagandą sukcesu. Później cudownie wygłupiali się Laskowik i Smoleń. Miano ich pokazać wcześniej, ale najwidoczniej ktoś dostał pietra, albo uznał, że ta dwójka zbytnio naród rozhuśta. Piosenka finałowa, owszem, owszem, dawała wiele do myślenia... Nie wiem, czy jest na świecie drugi taki kraj, jak nasz, w którym rodziłoby się tyle dowcipów. Dowcip nie oszczędza nikogo ani niczego. Do rzadkości należą jednak politycy, zwłaszcza niższego szczebla, którzy mają poczucie humoru, to znaczy śmieją się z dowcipów na swój własny temat. A przecież jest to również pewna miara popularności. Można mieć nadzieję, że i w tej dziedzinie co nieco powinno się zmienić.

Teraz trochę o własnym podwórku. Za kilka dni, 29—30 października, odbędzie się Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. „Prasa Polska", n a s z miesięcznik, w ostatnim numerze przedstawiła dyskusję z VIII Plenum Zarządu Głównego SDP, które odbyło się 22 września. „Prasa Polska" nie dociera do szerszych środowisk (a szkoda!), może więc warto niektóre głosy z tego plenum zacytować.

I tak **Zbigniew Regucki** („Gazeta Południowa" — znakomicie redagowany dziennik krakowski) powiedział: „Jeśli prasa ma spełniać taką funkcję, jakiej się oczekuje, to powinien być zmieniony dotychczasowy system kierowania środkami masowego przekazu. I to nie jest tylko kwestia tendencyjnych, wypaczonych, koniunkturalnych ocen, uzależnionych od tego, że ktoś zmrużył oko, pochwalił lub zganił, lecz uczciwości partyjnej, inspiracji (ale nie na zasadzie nakazów), pełnego wykorzystania w redakcjach ludzi młodych. Młodzież stanowi dzisiaj kolosalną siłę, ona się często z nami nie zgadza, bo nasze spojrzenie (tych po 40-stce i nieco wyżej) jest niekiedy inne. Żeby tę młodzież pozyskać, musimy otworzyć przed nią szerzej drzwi".

Józef Królikowski („Dziennik Bałtycki"): „Gwarancje dla prasy, radia i telewizji powinny zapewnić takie warunki, aby środki masowego przekazu mogły spełniać zadania społecznej kontroli, aby nikt od tej kontroli nie był zwolniony, bez względu na stanowisko, obowiązki zawodowe i społeczne".

Ryszard Skała („Wieczór Wrocławia"): „Warto (...) przed Nadzwyczajnym Zjazdem SDP odpowiedzieć sobie na pytanie: jacy jesteśmy, gdzie byliśmy bardziej gorliwi, niż od nas tego wymagano, kiedy w swoim postępowaniu byliśmy po prostu nieuczciwi. Jeżeli chodzi o morale środowiska dziennikarskiego, to nie można całej sprawy ograniczać tylko do Macieja Szczepańskiego. Opowiadał mi młody reporter, że zadzwonił do spółdzielni warzywniczo-owocowej, aby się dowiedzieć, kiedy nadejdą wyładowywane już w Gdańsku czy w Szczecinie cytryny. Usłyszał pytanie: „A ile panu potrzeba?", „Nic mi nie potrzeba", „To się tylko tak mówi", „Nie są mi potrzebne", „No, ale byli już tacy pańscy koledzy, którzy dla swoich redakcji po ileś kilogramów wzięli". Z takich spraw też musimy się otrząsnąć".

Barbara Seidler („Życie Literackie"): „Nie jestem członkiem partii, ale nie wydaje mi się, żebym na jej temat nie mogła zabrać głosu. Odnowa w naszym kraju musi przyjść od partii, bo nie ma innej możliwości. Dlatego myślę, że dopóki nie zmienią się niektórzy ludzie, sterujący zarówno nami, jak też i w instancjach wojewódzkich, my nie ruszymy z miejsca".

Barbara Moroz („Przyjaciółka"): „Partyjność nie może być utożsamiana z łatwym konformizmem, ze ślepym potakiwaniem wszystkim decyzjom, nawet wtedy, gdy ma się wewnętrzne poczucie, że są one niesłuszne. Muszą być stworzone warunki, aby dziennikarz-członek partii mógł odważnie wypowiadać swoje zdanie i aby się z tym zdaniem liczono. Ma on nie tylko realizować linię wskazaną przez kierownictwo partii, ale odwrotnie, przekazywać kierownictwu partii uwagi i postulaty społeczeństwa. Powinien być wyposażony nie tylko w dyrektywy, ale przede wszystkim w nieustannie aktualizowaną wiedzę o wszystkim, co ważne dla kraju, społeczeństwa, socjalizmu".

Alicja Zatrybówna („Gazeta Lubuska"): „Obecnie znowu pojawiło się nowe tabu — niezależne związki zawodowe. Nie wolno krytykować pewnych ludzi, nawet wtedy, gdy ich działalność jest absolutnie demagogiczna. Np. w Zielonej Górze, gdzie nie było strajków, powstaje międzyzakładowy komitet niezależnych związków zawodowych, uzurpujący sobie prawo do działania na całej Ziemi Lubuskiej. Ludzie ci rozsyłają komunikaty, uważają się za intelektualistów, za reprezentację klasy robotniczej, chociaż w rzeczywistości nie mają z nią nic wspólnego. Myśmy tymczasem nabrali wody w usta. A przecież wystarczyłoby napisać kim są i kogo chcieliby reprezentować".

Edward Pochroń („Trybuna Odrzańska"): „Zbyt często na różnych szczeblach spotykamy w aparacie partyjnym ludzi, którzy w prywatnej rozmowie wykazują sporo mądrości, lecz kiedy staną przed obliczem zwierzchnika, zmieniają się nie do poznania. Dobór ludzi do aparatu w ogóle, a do tego, który kieruje prasą, to niezwykle istotne zagadnienie. Nie zawsze ten, który legitymuje się doktoratem, jest najlepszy. Bywa niekiedy bardziej niebezpieczny i głupi od niewykształconego człowieka, gdyż ten ma trochę zdrowego rozsądku i umie patrzeć na to, co się wokół niego dzieje".

Włodzimierz Wójcikowski („Sztandar Ludu"): „W naszym lubelskim środowisku mamy do czynienia z dwoma postawami wśród dziennikarzy. Jedna polega na umywaniu rąk, usuwaniu się na bok: „Mnie przy tym nie było", czyli asekuranctwo. Z drugiej strony postawa gniewnych, których przedtem nie było. W większości są to ludzie młodzi. Wprawdzie nie ma podziału młodzi — starzy, ale w większości młodzież zajmuje określone stanowisko, zgłasza postulaty o charakterze radykalnym, czasami nawet — nieodpowiedzialne".

Zastanawiam się, do której grupy Włodek Wójcikowski zaliczyłby niżej podpisanego. Rąk nie umywam, bo brudne nie są, nieodpowiedzialnych postulatów nie zgłaszam, zwłaszcza że atlas geograficzny od najmłodszych lat stanowił moją ulubioną książkę. Dzielenie więc dziennikarzy jedynie na dwie grupy wydaje mi się nieco ryzykowne. Ale to tak na marginesie.

I teraz moi drodzy, znani i nieznani czytelnicy, widzicie, że dziennikarze otwarcie dyskutują i publicznie zastanawiają się, co należy zrobić, aby ich słowo się liczyło. Mówią również o swoim własnym środowisku, które przecież do idealnych nie należało i nie należy. Ale coś się we mnie buntuje, kiedy koło młodych przy lubelskim oddziale ZLP zarzuca obecnemu kierownictwo „Kameny", że kompromituje (tak, tak!) tradycje pisma. Chyba za... tolerancję, jako że wielu spośród tych młodych (niekiedy młodych niegdyś) za mojej już kadencji na łamach „Kameny" debiutowało słabymi wierszykami. Szanowni młodzi! Podyskutujmy, ale na konkretach. Poważnie. Demagogia nie może być podstawą. A zrażać sojuszników nigdy nie należy. Z wiekiem każdy się o tym przekonuje...

M. A. Jaworski

P.S. W ostatnim numerze „Życia Literackiego" nie znalazłem felietonu Machejka. W następnej „Kamenie" nie będzie mego notatnika. Jadę na urlop. Zaległy, kochani...

WANDA KANIOROWA

11 października 1980 roku zmarła nagle w Lublinie Wanda Kaniorowa, założycielka, dyrektor i choreograf Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, pedagog i społecznik. Wrażliwa na folklor, niezwykle energiczna — pierwsze kroki w kierunku ukształtowania słynnego dziś i cenionego zespołu poczyniła ponad 30 lat temu, organizując amatorski Teatr Młodego Widza. Kto mógł wówczas przypuszczać, że ze skromnej scenki wyrośnie z czasem taka potężna, oklaskiwana w wielu krajach świata instytucja, jaką jest Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, którego tancerze, śpiewacy i muzycy zwani są na co dzień „kaniorowcami", czego nie można uznać tylko za ułatwienie językowe. Wielogrupowy Zespół miał bowiem zawsze charakter na poły familijny, był bardziej związkiem koleżeńsko — artystycznym, niż oficjalną reprezentacją kultury ludowej Lubelszczyzny. Doprowadziła do tego właśnie Wanda Kaniorowa, która nigdy nie zapomniała o tym, że sztuka powinna wychowywać także jej twórców. Niegdyś nauczycielka w wiejskiej szkole na Polesiu, po wojnie Kaniorowa niemal bez reszty poświęciła się popularyzacji folkloru, zyskując wysokie uznanie w kręgach etnografów, nie mówiąc o szerokiej publiczności występów Jej Zespołu.

Odeszła od nas indywidualność wielkiego formatu, wybitna postać naszej kultury.

(k)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Kombinat Wydawniczo - Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. Zam. 2646/80. W-7.

PL ISSN 0137-7108
Nr indeksu 36251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

O wiarygodność młodego kina

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ HOLLAND

MIROSŁAW DERECKI: — W 7 numerze miesięcznika „Kino" z 1978 roku ukazał się artykuł Barbary Mruklik: „Mody film polski — próba sondażu". Autorka pisała w nim m.in.: „Jeszcze parę lat temu takie terminy jak „młody film polski" lub „nowe kino" wiązały się jednoznacznie z grupą reżyserów urodzonych między 1939 a 1941 rokiem, pokoleniem Kszysztofa Zanussiego. Jednakże określenie „grupa", a tym bardziej „pokolenie", kieruje uwagę na zjawisko, które w istocie nie miało wówczas miejsca. Zarówno Zanussi jak i startujący później: Krzysztof Wojciechowski, Grzegorz Królikiewicz i Krzysztof Kieślowski reprezentowali całkowicie różne punkty widzenia, tak jeśli chodzi o cele własnej twórczości jak i, a może nawet przede wszystkim, o styl. (...) W ostatnim roku pojawiło się nowe pokolenie młodych realizatorów filmowych, po raz pierwszy bodaj tak liczne od czasu „polskiej szkoły filmowej". Czy można ich określać mianem pokolenia nie używając ubezpieczającego cudzysłowu?"

W tym samym numerze pisma wypowiadało się na temat swoich postaw twórczych, na temat „młodego kina" oraz filmu polskiego w ogóle — pięcioro przedstawicieli najmłodszej generacji filmowców: Feliks Falk, Agnieszka Holland, Zbigniew Kamiński, Wojciech Marczewski i Krzysztof Rogulski. Falk nakręcił właśnie „Wodzireja", Marczewski przymierzał się do „Zmór" według Zegadłowicza, Agnieszka Holland przystępowała do kręcenia „Aktorów prowincjonalnych", filmu, który w 1980 roku miał jej przynieść nagrodę FIPRESCI na festiwalu filmowym w Cannes.

Tak wyglądał pierwszy mocny sygnał na temat zjawiska, które miało wkrótce zaowocować szeregiem filmów składających się na tzw. „kino moralnego niepokoju". To właśnie głos „kina moralnego niepokoju" zaznaczył się najdobitniej podczas ubiegłorocznego VI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku. Dzisiaj krytyka dzieli nowe polskie kino na dwa nurty: „publicystyczny" i „kreacyjny". Czy zgodziłaby się pani na taki podział?

AGNIESZKA HOLLAND: — Nie. Uważam natomiast, że istnieje podział nowego kina na — dobre i niedobre. I oczywiście, są wśród nas koledzy o różnych temperamentach twórczych i różnych zainteresowaniach. Lecz w obrębie naszego pokolenia istnieje też grupa ludzi, których określiłabym mianem demagogicznych grafomanów. Krytycy mogą się zastanawiać, kto z nas jest „surrealistą", a kto znowuż: „realistą". Dla nas, dla artystów, to sprawa różnych poetyk, różnych postaw estetycznych, a najważniejsze — na ile się zgadzamy w naszym widzeniu świata, jego problemów, jaki mamy stosunek do tego, co się wokół nas dzieje... Pewnie, może mnie z kimś dzielić inny rodzaj wrażliwości artystycznej, inna skala odczuć estetycznych, może na mnie nie działać pewien rodzaj kina poetyckiego. Ale nie to jest przecież najważniejsze. Istotna granica w obrębie nowego polskiego kina przebiega gdzie indziej....

Po zeszłorocznym festiwalu filmowym w Gdańsku, kiedy to — jak pan wspomniał — tak silnie zaznaczył się głos „kina moralnego niepokoju", został przypuszczony na nas szturm. Ruszyły z krytyką i zarzutami pisma branżowe, co gorsza, przyłączyli się do tego też niektórzy nasi młodsi koledzy, którzy byli właśnie w trakcie kręcenia swoich pierwszych filmów fabularnych. Z krytyką wystąpili także na łamach „Filmu" i „Kina" niektórzy nasi starsi koledzy. Mieli zastrzeżenia wobec języka filmowego „kina moralnego niepokoju"; że ten język jest słabo wyartykułowany... Przy całym szacunku dla dokonań filmowych tych znanych reżyserów, zadaję sobie nieraz pytanie, na ile impas artystyczny, w jakim się ostatnio znajdują, wpłynął na timbre ich wypowiedzi... Ale wróćmy do sprawy języka filmowego: boję się, że przesadna troska o jego „wyartykułowanie" objawiła się na tegorocznym festiwalu w Gdańsku całym szeregiem słabych filmów, bardzo mizernych debiutów.

MIROSŁAW DERECKI: — Właśnie. Skąd nagle tyle pseudofilozoficznych i pseudopsychologicznych „głębi" w filmach, do których tegoroczni debiutanci próbowali przekonać nas na festiwalowym ekranie? Co to jest: tak silne zafascynowanie najmłodszego pokolenia reżyserów Bergmanem, Saurą, Bunuelem; dowód braku skromności wobec ich sztuki, próba mierzenia sił na zamiary?

AGNIESZKA HOLLAND: — Oczywiście, że istnieje wśród młodego pokolenia — nie tylko wśród pokolenia najmłodszego — zainteresowanie czy też fascynacją twórczością Bunuela, Bergmana, Saury. Faktem jest także, że nie można tworzyć następnych filmów przez kolejną „kalkę", nie można ciągnąć w nieskończoność ekranowej „publicystyki" czy „kreacji", nie można zamknąć się na etapie pierwszych własnych odkryć i doświadczeń, czy też na etapie doświadczeń mniej lub bardziej starszych kolegów. Ale jak to robić? I w jakich warunkach? U nas, jeżeli młody reżyser przynosi do zaakceptowania scenariusz, to weryfikuje się ten tekst przede wszystkim w płaszczyźnie... „cenzuralnej", a nie — artystycznej. Najłatwiej zaś o zatwierdzenie „psychologicznej" fabułki. Bo taka „psychologiczna fabułka" nie jest dla nikogo niebezpieczna. Chciałabym być dobrze zrozumiana: mnie nie chodzi o to, żeby młodzi reżyserzy nie podejmowali tematów psychologicznych w swoich filmach, żeby nie imali się filozofii. Tylko niech to robią wówczas, jeśli mają naprawdę coś do powiedzenia, a nie dlatego, że łatwiej uzyskają zatwierdzenie takiego właśnie scenariusza.

Fot. CAF

MIROSŁAW DERECKI: — Młode polskie kino to przede wszystkim „kino autorskie"; wiąże się to zresztą z ogólnoświatowym trendem do tego rodzaju kina ambitnego. Ale czy uważa pani ciąg młodych polskich reżyserów do kina autorskiego za jedynie słuszny? Czy w pewnym momencie nie zaczęło to determinować całości polskiego kina w jednym, określonym kierunku, eliminując inne gatunki filmowe i inne zainteresowania? Młode polskie kino chce być tylko intelektualne, ambitne, walczące: dobrze to czy źle?

AGNIESZKA HOLLAND: — Proszę pana, zacznijmy od tego, że w naszych warunkach tylko film autorski ma jakieś szanse. Skoro produkujemy dzisiaj przeciętnie trzydzieści pięć filmów rocznie, to niech dziesięć filmów spośród nich ma autentyczną wartość artystyczną, a reszta — niech to będą filmy komercyjne. Ale tutaj zaczynają się zaraz mnożyć problemy. Liczące się w świecie kino rozrywkowe jest dzisiaj przemysłem. Doskonale zorganizowanym, wyposażonym w wielkie środki finansowe i nowoczesne zaplecze techniczne. To jest typ kina hollywoodzkiego. My nie mamy ani fachowców, ani środków na robienie takiego kina. Nasze filmy autorskie są tak strasznie proste w realizacji nie tylko z racji swego założenia, ale również ze względu na fakt niesłychanie ubogiej bazy technicznej. Jeżeli trudno jest nakręcić tak „kameralny" film jak „Constans", to co tu marzyć o masowym, rozrywkowym filmie... Nawiasem mówiąc, od lat na ten brak odpowiedniego technicznego zaplecza zwraca uwagę Stowarzyszenie Filmowców Polskich.

Druga sprawa to problem scenariuszy. Reżyserzy często piszą scenariusze do własnych filmów dlatego, że po prostu brak jest u nas scenarzystów, że literatom nie bardzo się opłaca pisanie scenariuszy, że wreszcie — mało jest naprawdę interesujących propozycji. Siłą rzeczy reżyser, często chcąc nie chcąc, robi „film autorski"... Ja i najbliższa mi grupa kolegów najchętniej sami piszemy scenariusze, bo chcemy, aby nasze filmy były wypowiedziami „totalnymi". Ale tutaj także nie ma ostatecznie ścisłej reguły. Kręcę teraz film według obcego scenariusza; napisał go Krzysztof Teodor Toeplitz. A na przykład Andrzej Wajda stale kręci według cudzych scenariuszy. I co, czy jego filmy są przez to mniej autorskie?

MIROSŁAW DERECKI: — Młode polskie kino, o którym ciągle tutaj mówimy, filmy Feliksa Falka, Agnieszki Holland, Janusza Kijowskiego, Andrzeja Kieślowskiego, Krzysztofa Zanussiego, Andrzeja Wajdy i ich kolegów („młodość" tego kina przekroczyła granice wiekowe, trzeba je wyznaczać w obrębie „kina moralnego niepokoju" lub: „kina problemów moralnych") antycypowało w jakimś sencie to, co stało się w 1980 roku „polskim sierpniem". Jaka się obecnie rysuje droga przed tym kinem?

AGNIESZKA HOLLAND: — Tak. Okazało się, że nasze filmy, które krytykowane były zarówno przez część prasy jak i przez oficjalne czynniki jako „czarne", „pesymistyczne", „karykaturujące rzeczywistość", okazały się właśnie prawdziwe. Oddające ducha tego, co się naprawdę działo w kraju, komunikujące nastroje ludzi, determinujące stan odczuć. A jaka się obecnie droga rysuje przed tym kinem? Przede wszystkim uważam, że motywacje do kręcenia filmów o klasie robotniczej, o Stoczni Gdańskiej, o tym, co się działo w sierpniu, muszą być autentyczne. Żeby kręcenie takiego filmu nie było działaniem z motywacji koniunkturalnych. Mam na myśli, oczywiście, film fabularny; dokumentu powinniśmy w tej mierze oglądać jak najwięcej.

MIROSŁAW DERECKI: — A jeżeli już jesteśmy przy filmie fabularnym, to kto pani zdaniem miałby największe moralne prawo do nakręcenia filmu związanego tematycznie z sierpniowymi wydarzeniami w Gdańsku?

AGNIESZKA HOLLAND: — Oczywiście Wajda!

MIROSŁAW DERECKI: — Uczestniczyłem kilka miesięcy temu w spotkaniu Andrzeja Wajdy ze studentami lubelskimi. Stwierdził wówczas między innymi, że nastał czas na ukazywanie w filmach postaw pozytywnych. Jak sobie pani, często i blisko współpracująca z Wajdą, to wyobraża?

AGNIESZKA HOLLAND: — Istotnie. Wajda ma taką teorię. Tylko nie wiem, na ile taki postulat może się okazać realny na dłuższy czas.

MIROSŁAW DERECKI: — Co wobec tego powie pani o „Constansie" Zanussiego?

AGNIESZKA HOLLAND: — „Constans"? To jest dobre. Ale myślę, że Wajdzie chodziło o co innego, zresztą „Constans" nie nadaje się do naśladowania.

MIROSŁAW DERECKI: — Więc jakie filmy trzeba kręcić?

AGNIESZKA HOLLAND: — Chce pan jednoznacznej odpowiedzi? To chyba byłoby zbyt trudne. W każdym razie nie byłoby nic dobrego, gdybyśmy teraz wpadli wszyscy w „kompleks" tego, co się wydarzyło w Polsce w drugiej połowie lata 1980 roku: „Nie nadążyliśmy, nie nakręciliśmy, nie zrobiliśmy tego wszystkiego, co należało, nie przewidzieliśmy, a więc teraz róbmy, odrabiajmy!" Przecież nie o to chodzi! Teraz trzeba tym bardziej wybiegać naprzód w naszej twórczości!

MIROSŁAW DERECKI: — I dlatego „cofa się" pani do „Dziejów jednego pocisku" Andrzeja Struga? Co to jest: szukanie „korzeni"? Próba odpowiedzi, skąd się wzięliśmy, skąd przybywamy, jacy byliśmy kiedyś i jakimi staliśmy się teraz? Czy ten film wyrasta z jakiegoś poczucia braku?

AGNIESZKA HOLLAND: — Szukanie „korzeni"? Tak, to też... Taką miałam też ambicję, że chciałam pokazać autentyczne dzieje naszej lewicy. Lecz pragnę również, aby filmowe „Dzieje jednego pocisku" były zarazem zapisem czy też: odbiciem naszych współczesnych niepokojów. A na dodatek, żeby to był film do oglądania przez publiczność! Nie ma w „Dziejach jednego pocisku" nagromadzenia faktów z podręcznika historii, bardziej chodziło o dramat ludzi, dramat narysowany na jakimś określonym tle...

MIROSŁAW DERECKI: — Studia filmowe ukończyła pani za granicą, w Pradze, potem już cały czas pracowała pani w kraju: od asystentury przy „Iluminacji" Zanussiego, poprzez filmy i nowele telewizyjne (m.in. „Niedzielne dzieci" — 1976 r., „Coś za coś — 1977 r.), filmowy debiut fabularny we współautorskich, nowelowych „Zdjęciach próbnych" (1977 r.), aż po zrealizowanych w 1979 r. „Aktorów prowincjonalnych". Jest też pani autorem kilku inscenizacji teatralnych, scenarzystą filmu „Bez znieczulenia" Andrzeja Wajdy. „Aktorzy prowincjonalni" byli jednym z najbardziej dyskusyjnych i kontrowersyjnych filmów ubiegłorocznego sezonu, a paradoksalnym, szczególnie dzisiaj, wydaje się fakt, że dopiero w Cannes film ten — jako dzieło filmowe — otrzymał liczącą się nagrodę artystyczną. Czy ten praski okres życia, i ta canneńska, ubiegłoroczna nagroda, nie skłaniały nigdy pani do chęci sprawdzenia swoich umiejętności za granicą? Czy chciałaby pani nakręcić film poza Polską?

AGNIESZKA HOLLAND: — Nie wiem. To znaczy, zastanawiałam się, oczywiście, nad czymś takim... Ale nie mam żadnego pomysłu na robienie filmu poza Polską. Wie pan, ja się czuję osadzona w Polsce. Nie mam większych motywacji, żeby robić filmy gdzie indziej.

Kamena str. 3

CZARNE I ZIELONE

„Aktualny stan i perspektywy środowiska przyrodniczego Lubelskiego Zagłębia Węglowego" — pod taką nazwą odbyło się w Lublinie 23 i 24 września br. sympozjum, zorganizowane przez miejscowy oddział Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej, Komitet Zoologii PAN, lubelski oddział Polskiego Towarzystwa Hydrobiologicznego i Akademię Rolniczą w Lublinie. Do udziału w sympozjum zaproszono naukowców z wielu ośrodków kraju, przedstawicieli władz partyjnych i administracyjnych województw: bialskopodlaskiego, chełmskiego i lubelskiego oraz specjalistów z różnych jednostek gospodarki. Najliczniej na zaproszenie odpowiedzieli naukowcy, natomiast z dyrekcji Lubelskich Kopalń Węgla Kamiennego nie pojawiła się żadna z oczekiwanych osób. 16 referatów, autoryzowanych przez naukowców i praktyków, oraz dyskusja potwierdziły, że ochrona środowiska przyrodniczego na terenie LZW wymaga szybkiego i zintegrowanego działania wielu różnych placówek. Sympozjum zakończono podjęciem ważnych uchwał i sformułowaniem instruktywnych wniosków, które publikujemy. Do problemów zawartych w tym dokumencie powrócimy.

● *Wszelkie zmiany obserwowane w przyrodniczym środowisku są tym samym zmianami środowiska człowieka. Dlatego niekorzystne zmiany w środowisku przyrodniczym są szkodliwe dla społeczeństwa. Zdobywanie dóbr ekonomicznych nie może więc przysłaniać problemów ochrony i racjonalnego kształtowania środowiska przyrodniczego. Z tego względu konieczne jest ścisłe przestrzeganie przez władze administracji terenowej wszystkich szczebli, przez wszystkie zakłady pracy każdej z branż i każdego z sektorów, przez szkoły wszystkich stopni oraz przez wszystkie osoby indywidualne przepisów określonych Ustawą z dnia 31 stycznia 1980 r. o ochronie i kształtowaniu środowiska (Dziennik Ustaw PRL Nr 3 z dnia 11 lutego 1980 r.)*

● *Na obszarze Lubelskiego Zagłębia Węglowego (LZW) należy uznać Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie za region dotychczas najmniej zmieniony działalnością człowieka, czyli za region o charakterze przyrodniczym stosunkowo najbardziej zbliżonym do pierwotnego. Równocześnie jest to region szczególnie wrażliwy (ze względu na specyficzne warunki klimatyczne, geologiczne, glebowe, hydrograficzne i ekologiczne) na presję gospodarki człowieka. Z tych względów, a także z uwagi na niektóre zachowane jeszcze elementy krajobrazu, flory i fauny — rzadkie lub unikalne w kraju a nawet w skali globalnej (np. gatunki endemiczne), region Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego należy jak najszybciej objąć szczególnie wnikliwą kontrolą i skuteczną ochroną. W tym celu należy:*

Przyspieszyć utworzenie parków krajobrazowych i Zachodnio-Poleskiego Parku Narodowego na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim w celach naukowych, dydaktycznych i — częściowo-rekreacyjnych; odpowiedni wniosek został przesłany władzom województwa chełmskiego podczas kampanii przed VIII Zjazdem PZPR.

Jak najszybciej zatwierdzić i realizować Zintegrowany System Kontroli Środowiska, opracowany przez Instytut Kształtowanie Środowiska.

● *Szkodliwa dla abiotycznego i biocenotycznego środowiska na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim działalność człowieka dotychczas jeszcze wynika tylko z rozwoju produkcji rolnej i ze wzrostu zaludnienia (stałego i sezonowego), ze związanego z tymi zjawiskami zmniejszania powierzchni leśnych lub ich dewastacji oraz z niewłaściwych prac hydrotechnicznych. Natomiast skażenie metalami ciężkimi rzek odwadniających bardziej zurbanizowane i uprzemysłowione obszary Aglomeracji LZW wskazuje na zagrożenie takimi skażeniami w niedalekiej przyszłości również Jezior Łęczyńsko-Włodawskich.*

● *Szczególnie niekorzystnymi obecnie zjawiskami w przyrodniczym środowisku Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego jest ogólne obniżenie poziomu wody i osuszanie torfowisk, degradacja i wyrąb lasów oraz szybko zachodzące nadmierne użyźnianie (eutrofizacja) jezior, tym bardziej niebezpieczne, że nieodwracalne z powodu bezodpływowego charakteru ogromnej większości jezior w tym regionie.*

● *W celu minimalizowania niekorzystnych zmian w środowisku przyrodniczym Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, wykazanych w poprzednim wniosku, za konieczne i szczególnie pilne należy uznać następujące środki zapobiegawcze:*

Opracowywanie i realizację wszelkich planów przestrzennych w regionie Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego i w jego otulinie w porozumieniu z przyrodnikami kompetentnymi z racji ich badań naukowych i doświadczenia; wymaga to przede wszystkim aktualnej i rzetelnej informacji ze strony władz administracji terenowej o aktualnym stanie, perspektywach i planach gospodarczych.

Natychmiastowe przerwanie wszelkich prac melioracyjnych na terenie Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego oraz wnikliwą rewizję i korektę planów melioracji, zmierzającą w kierunku ochrony torfowisk i zwiększenia retencji wody w obszarze Pojezierza, a zwłaszcza w jego torfowiskach i jeziorach.

Uruchomienie dostatecznie wydajnej i sprawnie działającej trzystopniowej oczyszczalni ścieków, prowadzonych zamkniętymi kanałami.

Objęcie częściową ochroną wszystkich istniejących w tym regionie lasów i maksymalne zalesienie wszelkich powierzchni o glebach najmniej wartościowych rolniczo, zwłaszcza sosnę zwyczajną, która stanowi na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim element naturalny i pierwotny.

Racjonalizację nawożenia upraw rolnych, polegającą na stosowaniu powoli rozpuszczalnych nawozów w terminach i dawkach odpowiadających zarówno wymaganiom roślin, jak i właściwościom sorpcyjnym gleb.

Rewizję planów rozwojowych gospodarki hodowlanej pod kątem jak najmniejszej koncentracji odpadów.

Ograniczenie rekreacyjnego wykorzystania Jezior Łęczyńsko-Włodawskich i ich zlewni, a zwłaszcza bezwarunkowe uzależnienie budowy i wykorzystywania już istniejących ośrodków rekreacji zbiorowej i indywidualnej od podłączenia tych obiektów do wspomnianej trzystopniowej oczyszczalni; należy też ograniczyć używanie sprzętu pływającego, zwłaszcza motorowego, do paru wyznaczonych jezior.

Objęcie wszystkich Jezior Łęczyńsko-Włodawskich o głębokości maksymalnej równej lub większej niż 15 metrów ochroną rezerwatową i traktowanie ich jako zbiorników wody pitnej.

Zabezpieczenie jak największej liczby Jezior Łęczyńsko-Włodawskich — a bezwzględnie wszystkich głębokich — przed spływami punktowymi i przed nadmiernymi obszarowymi spływami substancji allochtonicznych; zaleca się realizować to przez odpowiednio ukształtowane przyrodniczo strefy ochronne wokół każdego z jezior, a w razie potrzeby przez budowę rowów opaskowych; strefy ochronne nie mogą być wykorzystywane gospodarczo ani zagospodarowywane rekreacyjnie.

● *W celu uniknięcia katastrofalnych i nieodwracalnych zmian w środowisku LZW, takich, jak powszechnie znane z Zagłębia Śląskiego, należy uprzemysłowienie i urbanizację prowadzić równocześnie i kompleksowo z utylizacją odpadów oraz wszelkimi innymi przedsięwzięciami z zakresu ochrony środowiska. W tym celu należy jednak zapewnić aktualną i rzetelną informację o planach i przedsięwzięciach natury gospodarczej dla naukowców współpracujących na rzecz ochrony środowiska.*

● *Należy zwrócić uwagę na fakt, że sól zawarta w wodach dołowych wypompowywanych na powierzchnię, poprzez Wieprz oraz system Kanału Wieprz-Krzna i włączonych do niego jezior trafi i będzie nadal trafiać do zbiornika Zegrzyńskiego, który zaopatruje aglomerację warszawską w wodę pitną.*

Antek opuść zasuwę bo się zbiornik przeleje...

Dokończenie ze str. 1

zlikwidować problem zrzutu miejskich nieczystości przynajmniej do 2000 roku.

Budowę oczyszczalni w styczniu 1977 roku przejęło w ramach reorganizacji od warszawskiego „Hydrocentrum" Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych Budownictwa Przemysłowego, podległe Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego „Wschód" w Lublinie. Przejęło? Łatwo powiedzieć. Samo wtedy raczkujące, bez doświadczenia, bez odpowiedniego sprzętu, bez zahartowanej kadry specjalistów — a tu nagle inwestycja o ponadmiliardowej wartości. Warszawscy mocodawcy Grupy Robót „Hydrocentrum" w Lublinie, pozbywając się kłopotu, „wygarnęli", co się tylko dało, pozostawiając na rozgrzebanym placu budowy generalnego wykonawcę, który usiłował przynajmniej jako tako się zorganizować, bo o ruszeniu z kopyta mowy wtedy być nie mogło. Organizowanie, okazuje się, nie jest wcale taką prostą sprawą, skoro kilku kolejno zmieniających się dyrektorów PRIBP podołać temu nie mogło.

Na placu budowy na domiar złego trzeba było po poprzednikach naprawiać niejedną fuszerkę, z wyburzeniem olbrzymiego, betonowego zbiornika włącznie, który ktoś koniecznie uparł się postawić i postawił na torfie, nieświadom widocznie, że jest to podłoże miękkie i grząskie. Nie czas dziś dochodzić, kto ten grunt źle zbadał — taki, na swoje nieszczęście, przyjął wykonawca spadek, łudząc się jednak, że dalej będzie łatwiej, bo Uchwała Rządu, jak zaczarowany klucz, otworzy wszystkie drzwi, a wraz z nią nadejdzie sprzęt, nieprzerwanym strumieniem zaczną płynąć materiały itd.

Szybko wszak okazało się, że kluczem, na który tak bardzo liczono, niczego praktycznie tworzyć się nie dało. Może gdyby to był jeden z kilku priorytetów, a nie jeden z wielu w kraju, bardziej by obowiązywała decyzja podjęta na wysokim szczeblu, ale w natłoku priorytetów, jaki powstał w ciągu kilku ubiegłych lat, nawet małe zakłady kooperujące i podwykonawcze słabo lub wcale nie reagowały na widok pieczątki autorytatywnie świadczącej, że oczyszczalnia w Lublinie jest inwestycją „szczególnie ważną dla Gospodarki Narodowej".

Ponadto zaczął się odzywać grzech nękający dotąd całe polskie budownictwo — brak zbilansowania mocy przerobowych, materiałów, możliwości wyprodukowania lub zakupienia odpowiednich urządzeń, bez czego każdy, choćby najlepiej i najściślej ustalony harmonogram, załamie się, a zapisane w nim terminy zostaną tylko pobożnym życzeniem.

Przedsiębiorstwo w randze generalnego wykonawcy (jak się rzekło, bez głęboko zakorzenionych tradycji i doświadczeń) przynajmniej w pierwszych latach musiało liczyć na szczególną pomoc zwierzchności oraz na dobre chęci podwykonawców legitymujących się tradycjami i obyciem na wielkich budowach — na „Przemysłówkę" (LPBP), Elektromontaż i Piecobudowę oraz na łaskawość wielu zakładów produkujących urządzenia niezbędne oczyszczalni do tego, aby nie była tylko tonami martwego żelbetu.

Z biegiem miesięcy i lat rosły teczki i skoroszyty, w których na wszelki wypadek skrzętnie chowane są odmowy i nic nie dające ustalenia. Na radach budowy zapadały coraz to nowe decyzje, a czas niebezpiecznie uciekał. Z 1 194 129 tysięcy złotych polskich, za które ma ten obiekt powstać, wykorzystano do końca września bieżącego roku zaledwie 565 916 tysięcy zł, a więc trochę ponad 47 procent, gdy czasu uciekło już ponad 88 procent. Wniosek z tego wynika tylko jeden — inwestycja tak szczególnie ważna, od której tak wiele zależy w Lublinie, może się poważnie „pośliznąć" i wiele spraw, równie ważnych ze społecznego punktu widzenia, będzie musiało wejść w ten poślizg (mieszkania choćby!).

Generalny wykonawca, zagadnięty o przyczyny takich opóźnień robót w Hajdowie, ma na swoje usprawiedliwienie szereg argumentów. Powiada, że pierwszym i dość istotnym jest nierytmiczny spływ dokumentacji, którą posiada zaledwie w połowie i która kapie w Centrum Techniki Komunalnej w Warszawie jak przysłowiowa krew z nosa. Inwestor (Dyrekcja Rozbudowy Miasta) i przyszły użytkownik (Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji) twierdzą zgodnie, że to wcale budowie nie powinno przeszkadzać. O tyle prawda, że na wielu ważnych budowach dokumentacja spływa częściami, a budowy te niewiele na tym cierpią. Osobiście sądzę, że lepiej jednak mieć wszystko w garści, ponieważ nikt nie zabronił wprowadzania aneksów i poprawek do dokumentacji.

Innym argumentem, który wytacza generalny wykonawca, jest fakt, że dotychczas nie ustalono, jaki zostanie użyty typ filtrosów (urządzeń do napowietrzania ścieków). Produkowane przez firmę Schumacher o 150-letniej tradycji czy oferowane przez Finów typu „Nokia"? Zdania są podzielone nawet w samym przedsiębiorstwie, choć przeważa skłonność ku fińskim. Inwestor i użytkownik natomiast skłonni są zastosować schumacherowskie, bo ponoć lepsze i wydajniejsze.

Tak więc przeciąga się spór o rzeczy na tym etapie budowy nie najistotniejsze, wiadomo bowiem, iż urządzenia kupowane za dewizy można sprowadzać najwcześniej na rok przed ich zamontowaniem, zaś filtrów schumacherowskich w ogóle nie wolno długo magazynować. Jest ostatnio nadzieja, że spór ów znajdzie rozsądne rozwiązanie.

Wykonawca rzuca wreszcie najcięższy argument — fakt zupełnego zlekceważenia zamówień na cały szereg urządzeń, które można wyprodukować w kraju, bezdewizowo w poznańskim Przedsiębiorstwie Kompletacji Dostaw „Powogaz". Chodzi tu o zgarniacze osadu, odsysacze piasku, ruszty do ko-

Patenty doktora Wolskiego

Wacław Łabędzki

PRACOWNIA Technologiczna Zakładu Chemii Nieorganicznej Akademii Medycznej w Lublinie mieści się w niepozornym baraku przy ul. Mełgiewskiej 2. Jak na placówkę naukową przystało, kilka małych pomieszczeń zajmują mniej lub bardziej skomplikowane aparaty i urządzenia, z obowiązkowo dużą ilością kolb, próbówek, kolorowych odczynników, laboratoryjnych wag oraz mikroskopów. W różnych kątach foliowe worki z... korą drzewną, wióry i skrawki z obróbki miedzi, stłuczone żarówki, ba, nawet odpady pierza. Przybysza z zewnątrz już na wstępie intrygują ściany wąskiego hallu. Na nich to — główna wizytówka Pracowni. Składają się na nią dyplomy uznania i — używając właściwego nazewnictwa — ŚWIADECTWA AUTORSKIE, czyli po prostu patenty, których wisi 11, chociaż ich główny autor, doktor chemii i magister farmacji Tadeusz Wolski, posiada patentów dwadzieścia, a tyleż samo czeka na zatwierdzenie przez Urząd Patentowy PRL. Który z nich jest najcenniejszy, a raczej najważniejszy, jeżeli pod uwagę weźmie się jego zastosowanie? Trudno osądzić. Każdy przyniósł już gospodarce narodowej ogromne korzyści, a autorowi nie tyle może wielkie pieniądze, lecz satysfakcję i wiarę, iż kroczy właściwą ścieżką życia. A propos życia. Właśnie w trosce o jego ratowanie dr Tadeusz Wolski wspólnie w mgr. Włodzimierzem Kiszczakiem opracowali technologię produkcji nowego polskiego leku — azathioprinum, stosowanego w leczeniu niektórych białaczek oraz przy przeszczepach jako tzw. lek immunosupresyjny. Ale jest pewna sprawa...

Wiadomo, iż w kraju nie brak wszelkiego rodzaju odpadów celulozowodrzewnych. Chodzi o ich racjonalne zagospodarowanie, wykorzystanie. Stąd w Pracowni worek pełen kory. Z niej można wytworzyć doskonały nawóz, który doświadczalnie jest już stosowany, m. in. przez Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach. Stało się to dzięki staraniom Zakładu Agrofizyki Polskiej Akademii Nauk w Lublinie w osobach: prof. dr hab. Ignacego Dechnika i prof. dr hab. Jana Glińskiego. Oni to pierwsi uznali, że produkt utylizacji odpadów kory drzewnej w połączeniu z niektórymi odpadami przemysłu spożywczego może służyć do użyźnienia gleby jako jeden z nawozów organiczno-mineralnych, a znajduje zastosowanie w ogrodnictwie, przy uprawie warzyw oraz hodowli pieczarek.

W jednym z pomieszczeń Pracowni unosi się pył z pierza, a ściślej z jego odpadów. Doktor Wolski wyjaśnia:

— *Tylko w samych Zakładach Drobiarskich w Lublinie rocznie marnuje się 800 ton pierza i 500 ton skorup z jaj. A dzięki naszym doświadczeniom uzyskaliśmy z tych odpadków doskonałą paszę głównie dla krów, owiec i kóz. Te badania przeprowadzamy w ramach programu rządowego wspólnie z Zakładem Żywienia Zwierząt Instytutu Zootechniki w Krakowie.*

— A co można uzyskać z wiórów miedzianych?

— *Bardzo cenne preparaty jako dodatki do nawozów zawierających miedź, zwiększające efektywność produkcji rolnej. Miedź jest coraz droższa. Ma ogromne zastosowanie w przemyśle tele-radiowym, w produkcji tzw. obwodów drukowanych, lecz przy okazji pozostaje moc odpadów. Część z tych wiórów przetwarza hutnictwo, pokaźna reszta wprost marnuje się. My z tych odpadów, oczywiście poprzez żmudne działania, staramy się, zresztą z niezłym rezultatem, uzyskać na nowo miedź czystą. Ale spotykamy się z niezrozumiałą anomalią. Oto aby pobliski Zakład Odczynników Chemicznych uzyskał użyteczne związki, miedź odpadowa, np. z POM Ciechanki, wędruje w skali rocznej około 20 ton do hut na Śląsku, gdzie formuje się wielkie bloki i... transportuje do Lublina. A tu trzeba bloki ciąć, przyspasabiać. Jest to wyrzucanie pieniędzy w błoto, bo 1 kg odpadów miedzi elektrolitycznej w postaci wiórów czy skrawków kosztuje 17 zł, a w bloku przerobionym przez hutę — aż 60 zł!*

Podobnie rzecz ma się z odzyskaniem wolframu. W tym samym POM Ciechanki obrabia się różne kształtki i detale, w których skład wchodzi stop o symbolu WM-20, zawierający 20 procent miedzi i 80 procent wolframu. Odpadów zebrało się 10 ton. Z tego można odzyskać wolfram o wartości 5 milionów zł, a związków miedzi — głównie zaś azotanu i węglanu miedzi — o wartości 200 tysięcy zł. A więc czysty, złoty interes! Przekonano się o tym we wspomnianym Zakładzie Odczynników Chemicznych, który mimo początkowych wątpliwości i uprzedzeń zaufał wreszcie naukowcom z Pracowni. Dowodem tego chociażby pismo, z którego wynika, iż w IV kwartale ubiegłego roku, dzięki metodzie wskazanej przez doktora Wolskiego i jego zespół, z odpadów wiórów stopu MW-20, zakupionych w Ciechankach, wyprodukowano w ZOCh 2,2 tony proszku wolframowego sprzedanego do państw zachodnich za 1,6 miliona zł. Główni odbiorcy to Szwajcaria, Szwecja i RFN. W tym miejscu warto wspomnieć, iż wolfram to bardzo cenny pierwiastek, którego źródła kurczą się z każdym rokiem. W Europie występuje jedynie w Portugalii, a stosunkowo najwięcej jest go w azjatyckiej ZSRR, w USA, Meksyku i Chinach. Wolfram trudno zastąpić innym materiałem. A wiadomo, iż największe zastosowanie ma w produkcji żarówek. Natomiast co do miedzi, to należy też wiedzieć, iż 1 tona miedzi elektrolitycznej kosztuje około tysiąca dolarów. Odpadki powstałe podczas produkcji dostają się także do ścieków, co zagraża ochronie naturalnego środowiska: giną ryby, zanika roślinność. Ale znów brak miedzi zuboża glebę. W Polsce około 70 procent gleb jest w nią zbyt ubogich, choć stanowi ona niezbędny mikroelement zapobiegający chorobom roślin, uodparniający je i wpływający na wysokość plonów.

Mam przed sobą pismo prof .dr hab. Romana Czuby z Instytutu Uprawy Gleboznawstwa i Nawożenia we Wrocławiu, skierowane do lubelskiego naukowca. Notuję fragment:

„Informujemy Pana Doktora, że zapotrzebowanie rolnictwa na molibden w skali kraju kształtuje się w perspektywie do 1985 r. na poziomie ok. 20 ton rocznie w formie molibdeniamu amonowego lub sodowego... Możemy zaoferować eksport nawozów z dodatkiem molibdenu do innych krajów RWPG, ponieważ niedbór tego składnika występuje również w tych krajach..." .

— W jaki sposób uzyskuje się molibden? — pytam na zakończenie wizyty.

— *Właśnie można go uzyskać po utylizacji roztworów ścieków, do których dostają się odpady z produkcji żarników z drutu wolframowego.*

Jest więc sprawa...

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 97 LATY

● Dobry przykład nie zawsze idzie z góry i od maluczkich czegoś nauczyć się można. Malutki jest Lubartów w porównaniu z Lublinem, a jednak Lublin naśladować go zaczyna. Komitet Sanitarny, złożony z członków o czterech nogach [?], z każdym dniem, a raczej z każdą nocą zwiększa się w mieście naszym. Najliczniejsze dyżury odbywają się na ulicy Rybnej i Bernardyńskiej, a rzadziej po Krakowskim Przedmieściu, choć i ta pryncypialna ulica nie jest jego uwagi pozbawiona. W spacerach komitetu lubelskiego ta tylko zachodzi z lubartowskim różnica, że pierwszy bezczynniej czas spędza, bo z głową do góry śpiewając, przechadza się po środku chodnika, a członkowie komitetu lubartowskiego schylają głowy przy każdym niemal domu i uprzątaniem szkodliwych]?[ludzkim zdrowiu są zajęci. Czyżby i u nas system budowy domów taki jak w Lubartowie zastosować się nie dał, zwiększyłby się wprawdzie wzmiankowany komitet sanitarny, ale zająłby się pracą i oszczędził widoku w biały dzień wozów Bergerowskich.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● Od dłuższego czasu daje się zauważyć ,znaczne pogorszenie w pracy Miejskiej Centrali Telefonicznej. Szereg abonentów ustawicznie się skarży na długie oczekiwanie. A może telefonistki za przykładem „góry" zajmują się wyborami? Może by zarząd PASTY wpłynął jednak na uporządkowanie systemu pracy w Zakładzie Użyteczności Publicznej.

„Głos Lubelski"

Wybrała Hanna Orzechowska

mór napowietrzania, zasuwy kanałowe i instalację pneumatyczną, przepływomierze, zastawki itp. Jedyny dostawca tych chyba niezbyt skomplikowanych urządzeń (chociaż, przyznać trzeba, prototypowych), właśnie „Powogaz", nie reaguje nie tylko na orzeczenia komisji arbitrażowych, ale i Uchwałę Rządu ma za nic. Jeśli tych urządzeń nie będzie, to oczyszczalnia w Hajdowie nie przyjmie ścieków ani w 1983 roku, ani w dalszych latach osiemdziesiątych!

Inwestor i użytkownik znowu twierdzą, że na razie brak ten zupełnie nie przeszkadza budowie, ponieważ można te urządzenia montować potem, niezależnie od innych robót, które trzeba wykonać wcześniej, a które są już bardzo opóźnione. Godzi się jednak wierzyć kierownikowi budowy, inż. Wincentemu Lubasiowi, który jest zdania, że kolejność niektórych prac budowlanych ściśle wiąże się z posiadaniem przez wykonawcę choć części tego, co „Powogaz" powinien dostarczyć. I tak rozwiązanie tej sprawy pozostało chyba tylko w rękach ministra lub jeszcze wyżej. Kogoś się dyrektorzy „Powogazu" muszą przecież słuchać!

Może zaistnieć sytuacja, że wykonawcy obiektu zbiorą się w garść i na czas zrobią to, co do nich należy. Znane są w polskim budownictwie przypadki nagłych przyspieszeń. Na co się jednak zda ten wysiłek, gdy gotowa na czas budowa nie będzie mogła być uruchomiona tylko dlatego, że brakować będzie niektórych urządzeń? W ten sposób znowu wyłazi jak szydło z worka niezbilansowanie możliwości inwestycyjnych i błędy planowania. Znowu bowiem okazuje się, że rozpoczęto budowę bez zapewnienia jej na określony czas wszystkiego, czego do prawidłowego przebiegu potrzebuje.

Rozmawiając z inwestorem, budowlanymi i przyszłym użytkownikiem, w każdej ich wypowiedzi słyszałem tony zadowolenia z faktu realizacji tak wielkiego, potrzebnego i nowoczesnego obiektu. Ale właśnie — czy nowoczesnego? Tak — jeśli idzie o zastosowaną technologię oczyszczania ścieków. Nie — gdy chodzi o automatyzację funkcjonowania przyszłej oczyszczalni.

Zastępca dyrektora Dyrekcji Rozbudowy Miasta, inż. Maciej Paprocki, i zastępca dyrektora MPWiK, inż. Stanisław Błaszczak, mówią, że są w świecie oczyszczalnie tej wielkości całkowicie zautomatyzowane, my natomiast możemy sobie pozwolić tylko na taki system, jaki mogą zapewnić zakłady „Mera" w Ostrowie Wielkopolskim, a będzie to z konieczności system bardzo uproszczony. Inż. W. Lubaś twierdzi natomiast, że zautomatyzowanie oczyszczalni w Hajdowie opłaciłoby się choćby dlatego, że nie trzeba by zatrudniać około 300 osób, a wystarczyłoby 30. Trudno — jeśli nie dorośliśmy do takiej nowoczesności w tym zakresie, chociaż produkujemy bardzo złożone komputery, niech będzie i to — automatyka na zasadzie: „Antek, opuść zasuwę, bo się zbiornik przeleje". Na razie jedynie marzy się przyszłemu użytkownikowi, by racjonalnie wykorzystywać gaz powstający w wyniku fermentacji i aby osady odwirować i brykietować (to przecież doskonały nawóz dla rolnictwa). Inwestorowi marzy się natomiast, by wykonawca generalny nie oszukiwał, że w miesiącu „przerabia" 10 milionów złotych, to znaczy tyle ile zaplanował, skoro rzeczywiście „przerabia" 5,5 mln zł!

Wszyscy w Lublinie, którzy wiedzą, czym jest problem zanieczyszczeń naturalnego środowiska człowieka, marzą z kolei, by obiekt w Hajdowie, mimo sporów i rozlicznych trudności, zapobiegł dalszemu truciu Bystrzycy już od 1983 roku, i aby przedłużanie budowy nie zablokowało budownictwa mieszkaniowego.

Stanisław Strelnik

„Anty-UFO"

● POLEMIKI ●

W ZWIĄZKU z artykułem W. Wawrzonka („Kamena", nr 21), dotyczącym mojego tekstu pt. „Anty—UFO", pragnę gwoli wyjaśnienia dodać, że UFO ukazujące się w przestrzeni powietrznej nad terytorium USA są rzeczywiście pilnie obserwowane przez odpowiednie komórki armii Stanów Zjednoczonych, ale tylko z punktu widzenia ewentualnego zagrożenia kraju. Poza tym lotnictwo nie prowadzi żadnych badań nad UFO.

W przeszłości jednak było inaczej — pisze Sławomir W. Malinowski w tygodniku „Czas". — *Do 17 grudnia 1969 roku, kiedy to ogłoszono zakończenie projektu Blue Book, lotnictwo wojskowe realizowało program badań UFO rozpoczęty w 1945 roku. Z ich kontynuacji zrezygnowano z kilku powodów. Pierwszym i chyba najważniejszym była ocena raportu Condona przygotowanego przez Uniwersytet Colorado pt. „Naukowe badania UFO" oraz nie przynoszące żadnych rezultatów wyniki poprzednich badań, a także doświadczenie powietrznych sił zbrojnych, które badania takie prowadziły przez 20 lat. Z zebranej od 1948 roku dokumentacji wyciągnięto następujące wnioski:*

1. Żaden z badanych obiektów nigdy nie zdradzał jakichkolwiek oznak zagrożenia dla bezpieczeństwa kraju.

2. Wśród analizowanych raportów nie było żadnych dowodów na to, że obiekty klasyfikowane jako niezidentyfikowane reprezentują poziom technologiczny i zasady działania wykraczające poza zakres współczesnej wiedzy naukowej.

3. Nie było dowodu na to, że są to obiekty pozaziemskiego pochodzenia.

Wraz z zakończeniem prac nad projektem Blue Book został zawieszony także regulamin amerykańskich sił lotniczych ustalający i regulujący program badania UFO.

Identyczne fakty na temat UFO podaje polski ekspert do tych spraw, inż. Blania, w serii artykułów, które ukazały się w bieżącym roku w tygodniku „Przegląd techniczny — Innowacje".

Ze swej strony dodać tylko mogę, że jeśli spośród zebranych raportów dotyczących niezidentyfikowanych obiektów latających odrzucić te, które albo zostały podane przez ludzi ze słabym wzrokiem, w zamroczeniu alkoholowym, czy mitomanów, pomyleńców lub oszustów, albo dadzą się wyjaśnić w sposób racjonalny (balony stratosferyczne, pioruny kuliste, różnego rodzaju zjawiska optyczne, nowe rodzaje broni itp.), to pozostaje tylko około 0,5 proc. zjawisk, których dotychczas nie wyjaśniono zadowalająco... ze względu na towarzyszących im małych zielonych ludzików.

Jednak mój artykuł tych zjawisk nie dotyczy. Tyle jeśli chodzi o stronę merytoryczną sprawy, zaś wykwintna forma wypowiedzi W. Wawrzonka zwalnia mnie od obowiązku polemiki na temat zasad obowiązujących w dyskusji.

Edward Maruszak

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórskiego i Jana Smolarza.

Red.

Józef Hen

PO najeździe hitlerowskim na ZSRR znalazłem się na zadnieprzańskiej Ukrainie, nad Morzem Azowskim, następnie w stanicy kozackiej nad Donem. Więcej o tym w książce pt. „Kijów, Taszkient, Berlin". Ponieważ pierwszym moim dążeniem było bić się z Niemcami (jak zresztą całego mojego pokolenia), znalazłem się ochotniczo, w listopadzie 1941 r., w Armii Czerwonej, razem z młodzieżą znad Donu. Na froncie byłem krótko, dwa tygodnie w styczniu 1942 r., w czas straszliwych mrozów, ale zarysowującej się przewagi wojsk radzieckich. Potem odesłano nas wszystkich — obywateli nieradzieckich — na tyły, do batalionów pracy, najpierw do Stalingradu, następnie do Azji Środkowej, do Angrenu (70 km od Taszkientu); budowałem tam linię kolejową. Jechałem chętnie w tamtym kierunku, goniąc armię gen. Andersa, ale nie udało mi się do niej wstąpić (tutaj również patrz: „Kijów, Taszkient, Berlin"). Po komisji wojskowej polskiej i wyjeździe armii Andersa z ZSRR, wstąpiłem do szkoły pedagogicznej w Samarkandzie, a następnie pracowałem tam w wytwórni win i wódek, którą potem przekształcono w zakłady chemiczne wyrabiające ciecz niezamarzającą do karabinów maszynowych. Udało mi się wreszcie uzyskać skierowanie do Armii Polskiej w kwietniu 1944 r. Przybyłem do Sum. Potem przerzucono nas bliżej Polski, w okolice Żytomierza. I wreszcie w początkach sierpnia znalazłem się w Polsce, na ziemi lubelskiej, krótko w Lubartowie, potem w Lublinie, w Centralnym Domu Żołnierza, którego komendantem był płk Aleksander Zabłodowski.

Opisywałem moje lubelskie sprawy kilkakrotnie, choć może nigdy wyczerpująco. Przede wszystkim w książce „Kijów, Taszkient, Berlin". Następnie w artykule „Konfrontacje w Lublinie" w „Przeglądzie Kulturalnym" z 1955 roku (lipiec). Również w lipcu, z okazji rocznicy w 1959 roku, zamieściłem w tygodniku „Świat" wspomnienie pt. „Lubelskie debiuty", gdzie chyba dorzuciłem trochę nowego materiału. Jest tam mowa o Borejszy, o Woszczerowiczu, o pierwszym zjeździe Związku Literatów przy ul. Radziwiłłowskiej (do którego mnie dopuszczono).

Mój debiut miał, oczywiście, miejsce w Lublinie. Drukowałem fragmenty prozy, wiersze i fraszki w „Robotniku", „Gazecie Lubelskiej" (pierwszy mój druk w powojennej Polsce!), „Głosie Ludu", „Stańczyku". Pisałem dla radia (jestem pionierem wesołych audycji w powojennej radiofonii), produkowałem się jako autor, aktor i konferansjer w szpitalach wojskowych, dla rannych, wraz z grupą kolegów, którymi dowodziłem. [...]

Reszta jest mniej więcej znana ze „Słownika współczesnych pisarzy polskich". Nieporozumienia w tym „Słowniku" dotyczą moich początków. Nigdy nie byłem w Oficerskiej Szkole Politycznej, zdawałem tam tylko egzamin dla uzyskania stopnia, ale nic to i tak nie dało, bo po wyzwoleniu reszty Polski zgubiono moje dokumenty przy przeprowadzce szkoły. Stopień wojskowy dostałem już po działaniach wojennych z rozkazu Prezydenta KRN.

Mirosław Żuławski

MOJE związki z Lubelszczyzną ograniczają się do okresu jesień 1944 — wiosna 1945, kiedy przyjechałem do Lublina ze Lwowa w okolicznościach raczej dramatycznych (m.in. dlatego wszystkie biogramy są niepełne, grzeszące „par omission", lub wręcz nieprawdziwe). Jerzy Borejsza wziął mnie do „Rzeczpospolitej" w styczniu 1945 r., kiedy wróciłem z odbytej z niezwykłymi trudnościami wyprawy do Lwowa po żonę i dziecko. Pierwszym tekstem, jaki wydrukowałem w wyzwolonej

WIERSZE POETÓW BUŁGARSKICH

w tłumaczeniu Tadeusza Rossa

Andrej Germanow

* * *

Nad jesiennymi w złocie polanami
dzień już odchodzi śladem słońca grzywy.
Wietrzyk dmie lekko. Zmrok zapada siwy,
z zamyślonymi gawędząc górami.

A ja na dworze przed tym cudem stoję
w przeczuciu deszczu, i śniegów, i wiatrów,
pieca, okienka, doniczkowych kwiatów,
kąta ciepłego, dzieci i spokoju...

Czasy minione krążą w mojej myśli —
szerokie strzechy, beczące zagrody,
ogniska, kotły miedziane, komody,
podwórze z liśćmi złoconymi wiśni.

I dziwnie mi jest: jakaś zwiewność zdalna,
tak przezroczysta wśród minionych zdarzeń,
ale w ten wieczór ja tak mgliście marzę,
z poczuciem, że ta chwila jest realna.

Jedno okienko świeci niedaleko,
wietrzyk poszumy w melodię układa.
Księżyc nad granią i poświata blada.
I pierwsza pada śnieżynka tak lekko.

Damian P. Damianow

* * *

Czego ci brak tu? — pozwól że zapytam:
szczęścia łakomie szukasz na tej ziemi?
Tak mało ci potrzeba, byś był syty:
z zewnątrz kęs chleba, a z wewnątrz — marzenie!
I nic innego. Inne — to zagłada,
fałsz i żarłoczność, próżnych pragnień władza.
Marzenie — miękkie, chleb twardy się jada.
Oto co twoje życie tu osładza.
Nie chciej niczego więcej! pomnij, proszę:
człowiek ma takie żałośliwe ciało,
że wszystkie jego przyziemne rozkosze
są dlań za skąpe, wciąż ma ich za mało.
Czego ci, bracie, braknie na tej ziemi,
żeś wciąż samotny, wciąż ci czegoś trzeba?
Jeśli masz wszystko, czy brak ci marzenia?
Możeś zapomniał już słodyczy chleba
I przeto smutek duszę twą oplata?
Jeśli tak, jeden lek ci nieba dały:
bądź-że pokarmem dla całego świata!
I stań się biednym! Bo właśnie bogaty
jest człowiek wtedy, gdy się rozdał cały!

Paweł Matew

NATCHNIENIE

Wiszą nade mną niebiosa miedziane.
I nocnych ptaków chór między gwiazdami.
I mroczny las ciemnością rozesłaną
zamyka zachód, szemrzący listkami.

Wschodzą przezroczystych gwiazd jasne oblicza.
I po wyżynach które zachód krwawi
niebo życzliwie nad nami wytycza
ślad zapóźnionych wędrownych żurawi.

Niech ma najmłodsza miłość idzie dalej.
Niech najjaśniejszy rozum mnie porusza.
I niechaj zwilżą nieuchwytne fale
to co w mym sercu spustoszyła susza.

Bezludnie jest, a wszystkie zmysły moje
znowu wracają z niespodzianą siłą.
I oto we mnie bóstw się zbiera troje:
a więc poezja, muzyka i miłość.

Parwan Stefanow

PIOSENKA

Nasza prawda,
mak pośród niwy!
Czerwona kropla w klapie tkwiąca.
Zostań ostrożna lecz prawdziwa
i tak jak wczoraj zadziwiająca.

Ach, nie stawaj się domowym kwiatem
na naszych oknach
w doniczkę wsadzonym
abyśmy ciebie chronili przed wiatrem,
byśmy cię kryli przed szronem.

Tam nie wysysasz
swych soków z gleby
ni deszczu z burz niespodzianych.
Tam siarczanami karmić cię trzeba.
Konewką cię podlewamy.

I rosną troski wiecznie i wiecznie —
wciąż się trwożymy szalenie,
bo teraz nawet jest niebezpieczne
przypadkowe twe przeziębienie.
Nasza prawda,
mak pośród niwy!

Czerwona kropla którą w klapie nosisz.
Wrażliwa bądź, ale żywa.
I w szkółce sztucznie nie rośnij!

● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

„Barwy zdziwienia i gorycz"

LONGIN Jan Okoń znany jest czytelnikom przede wszystkim jako prozaik, autor m.in. „Legend chełmskich" (1969), „Opowieści niedźwiedziego grodu" (1973), „Niezwykłych dziejów pięknej Anny" (1978), „Tecumsecha" (1977), „Czerwonoskórego generała" (1979). Mniej natomiast jest znany jako poeta, chociaż od 1949 roku, w którym debiutował, opublikował kilka tomików wierszy, m. in. „Kroki słoneczne" (1965), „Łowienie świtu" (1969), „Drążyłem noc" (1971). Opublikowany ostatnio przez Wydawnictwo Lubelskie tomik „Mroki ziemi" jest wyborem drukowanych już wierszy Okonia.

Poetycka wizja świata zawarta w utworach zbudowana została w oparciu o obsesyjnie powracający motyw „nocy", „mroku". Stanowi on element opozycji: biel — czerń, dobro — zło, jest synonimem świata fałszu, zawiści, zbrodni. Taka ocena rzeczywistości ujawnia się w zbyt jednoznacznej, czytelnej, manierycznie powtarzanej metaforyce typu: „zasieki intryg", „kłody bezduszności", „kolce słów".

Bohatera lirycznego znamionuje świadomość kryzysu wartości humanistycznych, wyobcowanie, rozgoryczenie, nieufność wobec świata. Niepokoi go wdzieranie się obcych w prywatne życie („nawet przestrzeń po mnie, jak alchemicy poddają analizie i syntezie"). Boli go, że ludzie:

Ukłonami chcą kupić dygnitarzy
pogardą chcą upokorzyć współtowarzyszy
rózgami nienawiście chcą zniszczyć przeciwników
i siebie wynieść ponad innych

Tego rodzaju, nieco publicystycznie brzmiącym, refleksjom moralno-etycznym towarzyszy świadomość nietrwałości, znikomości świata zagrożonego przez współczesną cywilizację.

Dysharmonia wewnętrzna podmiotu ujawnia się w metaforyce: „rzeka niepokoju", „alarm żrenie", „dolina nie-

Może morze?

CIEKAWIE wydany tomik wierszy Jerzego Buszy nie jest rewelacją i dosyć mu do niej daleko. Stereotypowość opisów morza, tudzież łączonych u nim odczuć poetyckich, jest dzisiaj widoczna w tekstach wielu poetów związanych z Wielką Wodą. Nie ustrzegł się jej także, niestety, Busza. Źle stało się, że już w pierwszym wierszu zaskakuje czytelnika banał w rodzaju:

a to co słyszysz to jest szum morza
twojego morza, które przepływa przez
ciebie w szaleńczym galopie...
w którym porwany, niesiony prądem
płyniesz.

Rozpisane trzy wersy — a dwa razy użyty zaimek „który". Użycie drugiej osoby jest także nie na miejscu, albowiem sprawia wręcz odwrotny skutek niż zamierzony przez autora: czytelnik automatycznie odżegnuje się od „wspól-

części Polski, był duży szkic w „Odrodzeniu" pt. „Polska a Francja". Mieszkałem zrazu u Adama Ostrowskiego na Krakowskim Przedmieściu, potem w malutkim hoteliku na placu targowym przy Starym Mieście. Żoną moją i synem Andrzejem zaopiekowała się Przybosiowa, prowadząca wówczas dom dla literatów w Ciechankach. Ale na dwór w Ciechankach napadła banda i zabrała nam wszystko, cośmy wzięli ze Lwowa. Na szczęście Osóbka-Morawski dał mi talon na ciepłe gacie.

W marcu wyjechałem do Łodzi wraz z całą „Rzeczpospolitą".

Lublin wydawał mi się wówczas wielkim miastem, chyba dlatego, że cała Polska w nim przebywała. Zachowałem bardzo ciepłe wspomnienia, mimo okropnej zimy i wielkiego niedostatku. Co prawda na targu można było kupić wspaniałą surową polędwiczkę w każdej ilości; w sąsiadującej z hotelikiem księgarni sprzedałem całego Stendhala w oprawnym wydaniu biblioteki Boy'a na tę polędwiczkę.

Co do informacji biograficznej, odsyłam do publikacji „Polscy pisarze współcześni" Lesława Bartelskiego. Jest tam pięć informacji błędnych, ale to nie ma chyba najmniejszego znaczenia. Zresztą pięć informacji błędnych w dwudziestopięciowierszowej notatce to jeszcze nie tak źle. Jak już pisałem wyżej, ważniejsze są przemilczenia, ale w końcu w życiu zawsze najważniejsze, najistotniejsze jest to, co przemilczają autoryzowane biogramy.

● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

pokoju". Nie jest on jednak zgorzkniałym, biernym świadkiem. Bunt wobec rzeczywistości stanowi wyraz jego obywatelskiej postawy. Pragnie, by znaleźli się ludzie, którzy „zetną żelazem kłamstwo, zawiść, zbrodnie" i „zmienią ziemię w raj ludzi". Przeznaczeniem jego jest zmaganie się ze światem, „drążenie nocy", „rozświetlanie czerni", „wyławianie świtu", „układanie z promieni świtu domu prawdy". Najcelniej credo poetyckie zostało sformułowane w wierszu „Flet", w którym podmiot wyznaje:

Z czarnych tonów fletu
Wyłuskuję barwy zdziwienia
i gorycz.

Ma on jednak świadomość, iż „nie zapali świateł szczęścia", odejdziemy „w mrok ziemi"

i pozostanie słońce
kipiąca zieleń drzew
ptaków nuty gorące
ziemi
śpiew

Ta dość pesymistyczna wizja świata, sytuacja człowieka osamotnionego, nie zawsze niesie uproszczoną, jednostronną ocenę, ludzie bowiem „rozdają wiedzę smutek, cierpienie, radość", a człowiek to zarówno „podłość", jak i „wielkość".

Nieufna, buntownicza postawa wobec świata, wewnętrzne skłócenie nie stanowi osobliwości w światopoglądzie Okonia. Od czasów romantyzmu jest to temat dość powszechnie eksploatowany. U autora „Mroków ziemi" ma on podtekst osobistych doświadczeń i to zarówno tych najświeższych, jak i tych z ostatniej wojny i okupacji, kiedy to pisarz poznał okrucieństwo człowieka. Natura, muzyka, „rozumna mądrość żony" przynosza podmiotowi ukojenie, równowagę ducha. Struktura znacznej części liryk, szczególnie zaś miniatur, jest niespokojna, sytuacje tylko fragmentarycznie naszkicowane, w związku z czym obrazy w strofach są splątrzone, a wersy zbudowane z pojedynczych słów. Okoń dąży do maksymalnej precyzji, jasności języka, do utrzymania go w karbach konstruktywnego rygoryzmu. Zgromadzone w wyborze utwory są dość jednorodne tak w płaszczyźnie prezentowanej wrażliwości, jak i w organizacji świata przedstawionego.

Zdzisław Szeląg

Longin Jan Okoń, Mroki ziemi, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1979.

udziału" w przeżyciu. Semantycznie wersy owe są jedynie zaprzeczeniem siebie samych i brak tu bardziej oryginalnego tropu. Ale już w następnym tekście zaskakuje zespół wcale udanych zwrotów adekwatnych do zręcznie sfabularyzowanej metafizyki Wielkiego Czasu.

I tak jest przez całą książkę. Wielkie zróżnicowanie poziomu utworów można przypisać chyba i niezbyt szczęśliwemu doborowi tekstów, i samym umiejętnościom autora.

Nie sili się też autor „Tablicy ogłoszeń" na oryginalność; „moje nienarodzone dzieci" vide: Ewa Lipska („Dom spokojnej Młodości"). Brak w książce Buszy nowego, jako tako odkrywczego odnalezienia się podmiotu w nienowych przecież sytuacjach, które opisuje. Zaważyła na tym tradycja tematu, i to jest właśnie zjawisko charakterystyczne, o szerszych odniesieniach.

Tomasz Skrzymowski

Jerzy E. Busza, Tablica ogłoszeń, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1980.

APPENDIX

Jacek Giszczak

OTO miasto Lublin — pośród pagórków chaotycznych, jakby ktoś karate ćwiczył, wyłania się gromadka domów ponurych, z suterenią, dalej brama jakaś rozkraczona w baniaczku na głowie, aż tu podobno zamek i stara wiża. Tuż, tuż, kominów pięć, jakieś budki wśród rozbuchanych chwastów, aż dalej, dalej, dokoła, rozlicznych domów stada; wznosząc jedną stopę, wędrują ślimaczym krokiem, zawsze jednak w zasięgu wzroku wiży wspomnianej. Dalej ci to wszystko nie pociągnie, tylko jak błocko jakie, to ominie; góra jaka, to przywrze i tak wszędzie zalega.

W domach tych ludzie kiszą się. Rano bułek zjedzą 100 tysięcy, chleba 50 ton, herbaty napiją na 20 tysięcy litrów. Tyleż mleka. Wychodzą. W autobusy siadają. Nie zmieści się to wszystko, wiadomo! To na piechotę idą (jedni zawsze tak na piechotę chodzą, bo zdrowo!). Dzieci do szkół pędzą. Pewno, szkoda ich. Po co to do szkoły latać... „Ale niechby tego zabrakło, co by one, te biedactwa, cały dzień w domu robiły?!" — głos jakiś do mnie ozywa się. Ano, racja! Co by też robiły dzień cały, jak i pół dnia robić co nie ma.

Bywa, że i w domach niektóre siedzą. Nigdzie nie wychodzą. Albo chore są, albo drobiu pilnują, co jeszcze do szkół nie chodzi, na przedszkole za młody albo i nie dostał się. Są, co śpią se dłużej, nie chodzą nigdzie, bo robotę chałupniczą jaką mają, albo też na noc wychodzą, spiją się, to se w dzień odeśpią ludzie szczęśliwe. Studenci po stancjach uczą się, papirosy do ranka kurzą. Temu trzy, temu dwa, temu z pół roczku tego zostało...

Młodzieży kochana! O uwagę was się prosi — lekarze niech się uczą, budowniczy toż samo, z innych zawodów do uznania, jak to sami wiecie. A z których pożytku nie ma — humaniści, artyści różni i inni (jak kto się czuje) — na rzeczy ważne uważajcie, nie uczcie się zbytkownie! W sobie skupić się, to i owo rozważyć ważniejsze jest. A zdrowym być jeszcze ważniejsze jest. No a co, a co jest najważniejsze? A najważniejsze, by szczęśliwym być, więcej nic! (I srebro, i złoto też, jak komu uda się!).

Toż mnie pióro rozpędzone zniesło (cha, cha! — a to sztuczno, a to teatralno mi się zaśmiało! Matka, pierogów zgotuj mi, tylko żeby dużo było, albo i kaszy mi zgotuj. Ze skwarkami. A tłusto ma być w półmisku i żeby się dymiło, bom ja chudy, w domu siedzę i teatralno śmieję się, bo nicem nie jadł — a toć ja, cholera, rzekłby kto, od ludu mego kochanego całkiem odstrychnął się, który najadłszy się w domu nie siedzi, podśmiewając się półgębkiem), a tu miasto wre!

Kto za mały piniądz w pracy siedzi, tego i na ulicy, albo i w sklepie spotkać najłatwiej. W jednej bocznej ulicy Sklep Mięsny się znajduje. Podejdźmy do klientki jednej:

— A pani co w tym tu Sklepie Mięsnym, dajmy na to, robi?

— A pirożków przywieźli. Z serem.

— A za Mięsem pani nie stoi?!

— Gdzież bym śmiała! (A śmieje się, śmieje!).

Ale idźmy już! Z tego Sklepu wyjdźmy i od tej Literatury z Dialogami odejdźmy, bom ja nie Literat.

A jakże ja, z piórem nieobyty, owo miasto, co mi w uszach jako żywo huczy, opiszę?! Owe Trolejbusy wizgające, furki furkocące, motory grzmiące, ludzi sunących, dzieci krzyczące, panienki oczkiem zerkające, milicjantów stojących, pijaczków pełzających, poetów bełkocących, psy siusiające, lokale gwarne, budki cuchnące. Interesy różne na tej tu karteczce zmintej przedstawię?

Owoż, jako to się żywe roi, jak roi! („O, Lublinie, mój ty Lublinece..."). A kto by i pomyślał! Piniądzem nie śmierdzi, o świecie nijakiego pojęcia nie ma, na Wypoczynek nie jeździ, cupnęło tylko w owem kątku, aby komu nie zdało się, że ono co Pożytecznego robić może. Bo nie może Nie może.

Wódki kilkoro skrzynek w dzień wypija się. Takoż i inteligencya. I owszem — kto wódkę pija, dzień cały boży w Ulicy postoi, na prożku bramy jakiej przycupnie, szczęśliwym jest. Kto by żyć chciał inaczej — ten na zgryżoty różne wystawiony być może. A są i dobrzy ludzie, szczęśliwi. Samochodem na Wypoczynek jeżdżą, opaleni są, świat znają, córki Za Mąż wydają. A toż to jakoby ów Zachód farbą odmalowany! Atoć i nie dziw, mawiają, bo nie Wschód my, jeno owej prastarej Europy Serce mocno bijące (mnie by się zdało, że nie serce, a Appendix, co go prostaki Ślepą Kiszką nazywają).

Owóż kto Piniądze ma, jak i ten, co nie ma, ani mu na Piniądzach nie zależy, do złego łatwo przymuszonym być nie może. Za to dobrego dużo zrobić może, jako że Piniądze ma. Tak wesoło i w Sumienia Spokoju dzionek przepędzi. A kto mało ma i bliźniemu nie pomoże, i na tacę w kościele nawet położyć mu trudno i niewygodnie, jak to i przodkowie nasi już stwierdzali:

Dość cnotliwych u fary
Prosi o szeląg stary.

Dostać się tam łatwym nie jest. Kto bogatym jest, cicho se siedzi — ani podpatrzyć, gdzie bogactwa tego nabył. Kto do tego rozumny jeszcze (a wszystkie one rozumne, mnie się zdaje), jako to reżyserzy, pisarze albo i Literaci, takoż Profesorowie, wszystko zrobi, żeby bogactwo owo ludziom zbrzydzić. Owoż filmy, owoż książki, jako to z bogactwa nabyciem człek szczęśliwy alkoholikiem się staje, albo też grubianinem, bo jemu Wrażliwość wszelaką bogactwo owo odejmuje.

Na to słówko paradne rzec by się zdało o owych pijanicach w Ulicach się tłoczących — owoż bogactwa po nich nie znać (chyba, że poprzebierały się. To już nie wiem). Wrażliwym takoż być nie może, kto świtem z domu wychynie, kromkę chleba ze smalcem posolonego zjadłszy, gór ni morza nie widział, ani Samochodem (może Polonezem jakim) po autostradzie, papierosa popalając, nie jechał. Taki i Literatem być nie może, bo wszak by wierszyki jak owa Konopnicka pisywał, co, powiadają, przestarzała jest i niedobra Literatura.

Takoż bogacze, obozem się zawarłszy, ani na tradycję naszą zważać nie chcą. Boć niewygodno im, co powiedział przodek nasz zacny:

Nic nie jest cnota w nędzy,
Trzeba do niej pieniędzy.

A to ! nie jest mi dziwno, jako że każdy skórę swoją chronić od małego Przyuczony bywa.

Znowuż mnie zniesło, zniesło piórko niewyprawione, a tu miasto wre. Pijanica jakiś, za stołem siedzący, dziwnie się uśmicha. Co szklaneczkę lepką wychyli, to uśmichnie się i co raz słówko małe na blat stołu wypuści. A toć on do mnie tak uśmicha się! A toć i słówko jego zrozumiałym mnie się staje. Owoż on o Dzieciątku jakimś prawi!

— A toście Ojcem, jako powiadają, szczęśliwym zostali?

— Uchowaj Boże! — rzecze. — Od trzeciegom wyratował się, a takeśmy się z żoną już poprzestraszali! Bo to, panie, Mieszkania Własnego ni mam.

A tu miasto wre! Uniwersytet jakiś duży, z wiaduktem, dobrze położony, bo to i na górce, gdzie słońca dużo; wodą doprowadzona, cmyntarz przez płot, a i sklepów niedaleko kilka (w tem Mięsnych dwa) — wre. Nauki w nim rozliczne. Jakoż to wszystko pojąć i Nauczyć się można — nie wiem! Ja bym i wyliczyć Nauk tych nie zdołał, a podobnież są, co to w głowach noszą. Głów takowych postawiono kilkoro w parczku pobliskim. Statuy owe wielką zarośli okolicznych okrasą są, a może i ozdobą.

Profesorów dużo jest, co przechadzając się nawet, trud wielki głowie swojej zadają. Studentów takichże paru widzieć można. Poznać po tem, kto Głęboki jest — głowa jego spuszczona nad czemś myśli uporczywie, oczy nie widzą nic, usta ściśnięte, nie śmieje się ani nie gada. Kto śmieje się Głębokim nie jest, tylko płytkim a płochym. Z niem i gadać nie warto. Zapytać jego o System jaki, toć odpowie, że się ziemia ani ruszy, a zaś słońce wokoło lata. A to dlatego, że on śmieje się, óczka otworzył, na świat boży spogląda, toć mu się i nie ruszal

Tu mnie sekret jeden bardzo wielki odkryć wypadnie. Owóż i ja tak myślę! Dzieckom zapewne, co króla nagiego pierwsze okrzyknie, boć to każdy widzi, jak słonko wędruje. Jeno każdy mądrego udać pragnie i tak nic nie gada. Ziemia-ć kręci się? Wiruje-ć ona z drugimi planetami pomieszana? Toć i Lublin wędruje? A gdzież jemu do wędrowania! A i do Planet owych! Toż każdy widzi, jak on se w miejscu pełga! Ani stoi, tylko w glinę ową wlepia się, brzuch se przyplasnąwszy. (Z Uniwersytetu może być, że nie widzą, jako się rzadko, bowiem oczy ich głębokie zamknione są).

Otóż i nad miastem się ściemnia. Trolejbusy wizgają, pijanych trochę. Szczęśliwi ludzie w telewizor patrzą, inni już spać się pokładli. Spokój. Z góry jakby popatrzeć — nic. Ściehło, przycupnęło, zgasło. Mnie tylko spokoju braknie. Kto mnie o tych ludziach myśleć każe, co już spać się pokładli, kto mnie herezje gadać każe (a toż Sąd, a toż szykany!)? Toż ludzie swoje na zimę zbiora, a ja w domu siedzę, zapasów nijakich ni mam. Anim ja motyl, co przed zimą ducha wyzionie i spokój! Świerszczyk-żem — w ręce chuchać, skrzypki na podpałkę zrąbać, odwilży czekać.

A tu i pisanie owo już zemgliło mnie. „Zostaw, synku, pisanie owo. Uchowaj Bóg, żebyś jako Literat, słuchaczów próżny, co spisywać albo i Utrwalać miał!" — głos jakiś, Anielski Dobroci, ozywa się. A to w oknie mi stanąć, powietrza wciągnąć, papirosa zdusiwszy. Owoż świat, owoż ciemność nieba nieskończona! (czuję, że jakie Piniądze Duże mnie trafią się)...

Rys. Z. S. Pytlik

Kamena str. 7

SUDETY I ZAOLZIE (2)

Leszek Siemion

PO majowym kryzysie Hitler uruchomił swój cały aparat dyplomatyczny, aby przed następną próbą gwałtu doprowadzić do zupełnego osamotnienia czeskiego sąsiada. Równocześnie zabiegał o pozyskanie Polski i Węgier do udziału w planowanej napaści. W najgorszym razie chodziło mu o to, aby Polska zabezpieczyła wschodnie skrzydło całej operacji przed zagrożeniem ze strony ZSRR, będącego sojusznikiem Czechosłowacji.

Warszawa mogła być na razie zadowolona, gdyż wybory samorządowe w Czechosłowacji przyniosły sukces mniejszościom. W powiatach Cieszyn i Frysztat Polacy uzyskali niesłychaną liczbę 231 mandatów w radach gminnych. Na obszarze Sudetów absolutne zwycięstwo odniosła henleinowska SDP. Pod naciskiem Zachodu rząd czechosłowacki nawiązał z Henleinem rokowania, przyjmując za punkt wyjścia jego żądania z Karlovych Varów. Ale za przykładem Niemców autonomicznego statutu domagali się Węgrzy i Polacy, których delegacje 29 czerwca zostały przyjęte przez premiera Hodżę.

Zamieszanie wokół sprawy mniejszości narodowych wywołało ożywienie narodowych uczuć wśród Polonii niemieckiej. 4 lipca odbył się zjazd młodzieży polskiej na Śląsku Opolskim. Ku konsternacji Niemców, a chyba i Warszawy, zjazd przebiegał pod znamiennym hasłem: „Polacy tu byli, Polacy tu są i Polacy tu będą".

Być może, że to ożywienie się niemieckiej Polonii spowodowało przypływ nieufności Niemiec do Polski. Ambasador Lipski jeszcze w połowie czerwca raportował Beckowi z Berlina: „...dochodziły mnie z kilku stron informacje, że w sferach zbliżonych do wojskowości miano twierdzić, jakoby niewyraźna postawa Polski udaremniła przedsięwzięcie w sprawie sudeckiej, które miało być zrealizowane w pierwszych dniach maja".

W każdym razie 7 lipca 1938 r. Oberkommando der Wehrmacht wydało armii charakterystyczną dyrektywę. Mianowicie nakazywała ona siłom osłonowym **w razie ataku polskiego** utrzymać umocnienia graniczne do czasu rozprawienia się z Czechosłowacją, po czym nastąpić miało przegrupowanie sił głównych.

Hitler trafnie wiązał duże nadzieje z postawą Wielkiej Brytanii. 18 lipca wysłał do Chamberlaina list z prośbą o poparcie „słusznych" żądań Niemców sudeckich, których zaspokojenie miało ocalić Europę od wojny. Manewr ten spotkał się z przychylnością Londynu, co natychmiast znalazło odbicie w nowym zagraniu Henleina — przemawiając w Bratysławie, żądał już dla Sudetów prawa do oderwania się i przyłączenia do Rzeszy. Wprawdzie rząd praski w dniu 26 lipca zatwierdził nowy statut narodowościowy i ustawę językową, ale w stosunku do żądań SDP było to niczym.

List Hitlera odniósł niestety skutek. Premier brytyjski delegował do Czechosłowacji lorda Runcimana z misją „dobrych usług". Praktycznym celem tej misji było nakłonienie Czechów do kapitulacji wobec bezczelnych żądań Henleina. 3 sierpnia Runciman przybył do Pragi, gdzie rozpoczął serię spotkań politycznych.

O pozyskanie Polski w dalszym ciągu zabiegał Goering. 10 sierpnia, w rozmowie z Lipskim zapewnił go, że w razie konfliktu polsko-radzieckiego Niemcy przyjdą Polsce z pomocą, oraz stwierdził, że Niemcy będą respektować polskie interesy na Ukrainie. Grając na polskich słabostkach, wtrącił też o swym zrozumieniu dla ustalenia wspólnej granicy między Polską a Węgrami.

W dwa tygodnie później Goering ponownie rozmawiał z Lipskim. Na wstępie obaj dogadali się, że Czechosłowacja jest tworem nietrwałym, co Lipski uzupełnił przypochlebnym stwierdzeniem stałości polityki Polski, która „nie dała się wciągnąć do kombinacji antyniemieckich". Podkreślił też, że Polska nie wierzy w agresywność III Rzeszy, na co jego rozmówca zgłosił gotowość Niemiec do przedłużenia paktu o nieagresji z Polską o 25 lat. Następnie hitlerowski dygnitarz powrócił do sprawy niechybnego upadku Czechosłowacji. Stwierdził przy tym, że w razie akcji niemieckiej przeciw temu krajowi wystąpią również Węgrzy, co uniemożliwi armii czeskiej wycofanie się do Słowacji. Ogródkowo przedstawił też udział Polski w tej agresji, mówiąc: „...Niemcy rozumieją, że w takiej sytuacji Polska zajęłaby interesujący ją rejon. Mogłoby w praktyce dojść, aby oddziały polskie i niemieckie gdzieś się spotkały".

Dla zwiększenia polskiego apetytu Goering dodał jeszcze, że sprawy Słowacji są Niemcom obojętne. Było to nowe kłamstwo, gdyż Rzesza była w kontakcie ze słowackimi autonomistami, zaś henleinowska SDP ze swej strony te kontakty rozszerzała. Podbijając bębenka, raz jeszcze wspomniał o radzieckiej Ukrainie, gdzie Niemcy rzekomo nie miały żadnych celów, natomiast Polska mogła znaleźć potrzebny jej teren ekspansji.

Jak najpełniejsze porozumienie z Polską było Rzeszy niezbędne, gdyż Hitler już wyznaczył ostateczny termin zaatakowania Czechosłowacji. 1 września przyjął Henleina w Berchtesgaden, gdzie dał mu polecenie wznowienia akcji według nowego planu. W dwa dni później Henlein przeprowadził rozmowę z Beneszem, wobec którego zażądał przekazania obszaru Sudetów Rzeszy Niemieckiej. Żądanie było sformułowane jako ultimatum, toteż spowodowało stan pogotowia armii czechosłowackiej w obszarze Sudetów, a także szersze reperkusje w Europie. 6 września Francja zarządziła częściową mobilizację celem uzupełnienia obsady swej „linii Maginota". W Czechosłowacji rozpoczęły się starcia między Niemcami a policją, przy czym szczególnie ostry był ich przebieg w Morawskiej Ostrawie i Opawie.

Rząd czechosłowacki był gotów iść na ustępstwa. 8 września zaproponował Henleinowi ugodę, akceptując prawie wszystkie jego warunki. Dążąc do poprawienia atmosfery, usunął nawet ze stanowiska czeskiego prezydenta policji w Morawskiej Ostrawie.

11 września rząd W. Brytanii, w oficjalnej nocie ostrzegł III Rzeszę przed konsekwencjami zbyt bezwzględnych posunięć w sprawie sudeckiej. Miało to hamować Hitlera w wypowiedziach na kongresie jego partii NSDAP, który następnego dnia miał się rozpocząć w Norymberdze. Ostrzeżenie to Hitler całkowicie zlekceważył — na kongresie zmieszał z błotem Benesza i wezwał Niemców sudeckich, by zażądali prawa do samookreślenia swego państwowego bytu. Hasło to zostało poparte przerzutami jednostek wojskowych do Bawarii, Saksonii i na Śląsk.

13 września Henlein zażądał oficjalnie opuszczenia obszaru Sudetów przez czeskie władze i wojsko. Sudeccy Niemcy wyszli na ulice, atakując czeskie urzędy, sklepy i policję. Rząd Hodży był zmuszony wprowadzić w Sudetach stan wyjątkowy.

Zaniepokojony premier Chamberlain telefonicznie porozumiał się z Hitlerem, proponując mu osobiste spotkanie. Nie porozumiewając się ani z francuskim sojusznikiem, ani z własnym rządem, Chamberlain odleciał do Obersalzberg. Kanclerz Rzeszy spotkał go układny i wysunął skromne żądanie przeprowadzenia plebiscytu w Sudetach. O wyniki głosowania mógł być spokojny, a premier brytyjski nie mógł odmówić tak ograniczonemu postulatowi. Natomiast Hitler wyjaśnił mu bez osłonek: „Za wszelką cenę muszę umożliwić powrót do Rzeszy 3 milionów Niemców w Czechosłowacji. Jestem gotów wywołać wojnę światową dla osiągnięcia tego celu. Na tym kończą się moje żądania terytorialne".

Jedynym zobowiązaniem, jakie Hitler dał Chamberlainowi, było przyrzeczenie, że na razie nie da wojskom rozkazu do wymarszu. W zamian za to zobowiązał go do okazania pomocy w zaspokojeniu przez Czechosłowację żądań Niemców, Węgrów, Polaków i Słowaków.

Rozmowie Chamberlaina z Hitlerem towarzyszyły już odgłosy zbrojnych walk w Sudetach, rozpoczętych przez henleinowców. Do formalnych bitew dochodzi w Chebie i Szwaderbachu. Czesi muszą wprowadzić do akcji poważne siły wojskowe. Henlein zostaje ogłoszony zdrajcą stanu, co powoduje jego ucieczkę do Niemiec.

Rząd Rzeszy kogo może wciąga do swojej akcji. Zaczadzony przez Goeringa Lipski śle do Warszawy przynaglające telegramy. „Po linii Niemiec idzie, aby i inne mniejszości, łącznie ze Słowakami, wystąpiły zaraz o plebiscyt" — telegrafuje 15 września, a nazajutrz wyjaśnia: „Goering usilnie doradza wszelkimi środkami domagać się plebiscytu ze strony Polski i Węgier, aby sprawa nie ograniczyła się do Sudetów. Uważa za bardzo pożądane, aby Słowacy postawili żądanie plebiscytu poparte przez Polskę i Węgry".

Po odjeździe Chamberlaina Goering znów judzi Lipskiego. W rozmowie z nim podkreślił — jak doniósł polski ambasador — że „...rozumie konieczność wspólnej granicy polsko-węgierskiej, która spotkałaby się na Słowacji...".

Z inicjatywy Lipskiego raz jeszcze poruszono problem zadrażnień o Gdańsk. Obie strony wyraziły chęć likwidacji tych nieporozumień, przy czym jednak Goeringowi wyrwało się jednak coś, co zabrzmiało jak zgrzyt żelaza po szkle: „...Generał-feldmarszałek — donosił polski ambasador — poruszył również tutaj kwestię autostrady do Prus Wschodnich...".

Jednak ślepe i głuche na polityczne i strategiczne racje polskie kierownictwo polityczne zgrzyt ten puściło mimo uszu. Beck dął w tubę niemiecką i reagując na raporty Lipskiego, rozesłał polskim placówkom dyplomatycznym zalecenie następującej treści: „Należy wszelkimi środkami i sposobami dążyć do włączenia plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim do ogólnego programu rozwiązania sprawy Czechosłowacji. Do realizacji tego celu gotowi jesteśmy użyć najostrzejszych środków, nie cofając się przed groźbą..."

Dając wyraz swej solidarności z Niemcami, wobec przeciwstawnej postawy ZSRR polskie władze państwowe i wojskowe zorganizowały wielkie manewry na Wołyniu. Ich celem było wykazanie gotowości obrony wschodniej granicy, co w aktualnej sytuacji równało się gotowości do osłony niemieckiego skrzydła przed radziecką interwencją na rzecz napadniętej Czechosłowacji.

Wbrew swym zobowiązaniom państwa zachodnie bez reszty postanowiły oddać Czechosłowację na łup III Rzeszy. Szczególnie hańbiące zabiegi czynił przy tym francuski minister Bonnet, uciekając się nawet do okłamywania własnego rządu. 12 września oszukańczo stwierdził, że ZSRR odmawia wykonania sojuszniczych zobowiązań wobec Czechosłowacji. Następnego dnia przedstawił gabinetowi Daladiera raport gen. Gamelina, mówiący o nieprzygotowaniu Francji do wojny. Przemilczał natomiast opinie sztabu o brakach armii niemieckiej oraz końcowy wniosek raportu, który brzmiał: „Mimo wszystkich trudności powinniśmy interweniować".

W ten sposób Bonnet uzyskał podstawy do przesłania 16 września Pradze wiadomości, że „Francji trudno będzie wystąpić w obronie Czechosłowacji, jeśli nie poprze jej W. Brytania".

Znękany prezydent Benesz czuł beznadziejne osamotnienie swojego kraju i jako ostatniej deski ratunku uchwycił się koncepcji odstąpienia Niemcom części Sudetów. Ale na żaden kompromis się nie zanosiło. 17 września Polacy i Węgrzy w Czechosłowacji znów wystąpili z pretensjami. Pierwsi zażądali przyznania im takich samych praw, jakie otrzyma jakakolwiek inna mniejszość, drudzy — całkowitej autonomii. Zbiegły do Rzeszy Henlein tegoż dnia ogłasza werbunek do Korpusu Ochotniczego, formowanego celem wsparcia walki zbrojnej toczonej w dalszym ciągu przez Niemców sudeckich. Rząd polski oficjalnie poparł żądania czeskich Polaków, podejmując równocześnie odpowiednie démarche w Paryżu i Londynie.

Przygniatany wydarzeniami rząd czechosłowacki jeszcze raz zdobywa się na energię. Zarządzono rozwiązanie henleinowskiej SDP i w całym kraju wprowadzono stan wyjątkowy. W Czechosłowacji ożywiły się nastroje obrony kraju.

Zupełnie przeciwnym kursem zmierzała polityka Zachodu. 18 września Daladier i Bonnet ponownie konferowali w Londynie, gdzie zapadła ostateczna decyzja zdrady czechosłowackiego sojusznika. Wspólne oświadczenie francusko-brytyjskie zaleciło Pradze przekazać Rzeszy tereny o większości niemieckiej gdyż utrzymywanie ich w granicach Czechosłowacji grozi wybuchem wojny. Na odpowiedź rządy zachodnie wyznaczyły termin dwudniowy, nadając w ten sposób swemu oświadczeniu formę ultimatum.

Polska dolewa oliwy do ognia, czyniąc 19 września drugie démarche, przy czym określa swą wolę zapewnienia autonomii polskiej mniejszości w Czechosłowacji. Tym razem interweniują polscy ambasadorzy nie tylko w Paryżu i Londynie, ale również w Rzymie i Berlinie. Ambasador Lipski otrzymuje wytyczne, z których jasno wynika, że Polska czuje się ściśle sprzęgnięta z polityką Niemiec i zabiega o ich względy. Instrukcja ta brzmiała:

„Rząd RP konstatuje, że przez swoją postawę sparaliżował możliwości interwencji Sowietów w sprawie czeskiej w szerszym stylu. Nacisk wywarty przez nas w Bukareszcie odniósł pożądany skutek. Nasze aktualne manewry na Wołyniu zostały przez Moskwę zrozumiane jako ostrzeżenie [...]. Rząd polski czterokrotnie odrzucił propozycje przyłączenia się do interwencji międzynarodowych w obronie Czechosłowacji [...]. Republikę czechosłowacką uważamy za twór sztuczny, dogadzający pewnym doktrynom i kombinacjom, a nieliczący się z rzeczywistością potrzeb i zdrowych praw narodów Europy Środkowej".

Niezależnie od poczynań dyplomatycznych władze polskie podejmują kroki wojskowe. Na teren polskiej części Śląska Cieszyńskiego zostają skierowane oddziały z głębi kraju, przede wszystkim z pogranicza niemieckiego. Lipski otrzymuje polecenia, by zakomunikował w Berlinie, że śląskie zgrupowanie wojsk polskich „nie jest zwrócone przeciwko Niemcom".

Lipski zameldował się u Hitlera 20 września. W rozmowie z polskim ambasadorem „führer" przyjął pozę protektora wszystkich mniejszości narodowych Czechosłowacji, co Lipski uzupełnił oświadczeniem, że dla załatwienia swych interesów w Czechosłowacji Polska nie cofnie się przed użyciem siły. Dogadali się świetnie, gdyż Hitler zapewnił, że „w razie konfliktu polsko-czeskiego o Cieszyn, Rzesza stanie po stronie Polski".

Rozmowa zakończyła się znamiennym akcentem: kanclerz Rzeszy wspomniał o autostradzie przez polskie Pomorze, nad czym Lipski przeszedł do porządku dziennego. Zaślepiony ambasador ani domyślał się, że sprawę Czechosłowacji kanclerz uważa już za załatwioną i zaczyna się rozglądać za następną zdobyczą.

(c.d.n.)

DZIENNIK AMERYKAŃSKI (VIII)

Pronaszko sponiewierany

We wstępie do tej książki autor przypomina suche fakty: spis ludności USA z 1970 roku wykazał, że niewiele ponad 5 mln mieszkańców kraju przyznało się do polskiego pochodzenia, do wszystkich organizacji polonijnych w Stanach należy około 400 tys. osób, a więc zaledwie 7 proc. tej całej grupy etnicznej. Edward Puacz cytuje też opinię profesora Zb. Kruszewskiego z Uniwersytetu w Texasie, który podczas obchodów ćwierćwiecza Związku Akademików Polskich w USA, w listopadzie 1975 roku, stwierdził ni mniej, ni więcej, że *zarówno w Warszawie, jak i w Chicago blaguje się na temat siły i znaczenia Polonii amerykańskiej.*

Czy można wierzyć tym słowom? Biorąc pod uwagę postać i działalność pana Puacza, trzeba, niestety, zaufać statystyce i sądom głoszonym przez niego w książce „Polonia w USA dziś i jutro", złożonej z referatów wygłaszanych przez autora na różnych zjazdach polonijnych i z artykułów wcześniej publikowanych w czasopismach, które ukazują się w Ameryce i Europie zachodniej. Z wykształcenia ekonomista, niegdyś właściciel dochodowej apteki, od wielu lat Edward Puacz prowadzi znaną w Chicago księgarnię „Polonia", ulokowaną przy polskojęzycznej jeszcze Milwaukee Avenue. W pomieszczeniu o powierzchni około 100 metrów kwadratowych można nabyć książki Miłosza i Lema, Dobraczyńskiego i Kuncewiczowej, Fleszarowej-Muskat i Olgierda Terleckiego oraz prasę polską.

Wśród książek największym wzięciem u klienteli pana Puacza cieszyły się dotąd: „Przeminęło z wiatrem" Margaret Mitchell (po polsku) oraz „Trędowata" Heleny Mniszkówny. Znacznym zainteresowaniem obdarzono ponadto powieści Bunscha, Dobraczyńskiego i Wańkowicza, a także „Ulissesa" Jamesa Joyce'a w tłumaczeniu Słomczyńskiego co właściciel księgarni uzasadnia powiewem mody. Dobrze też idą kryminały, poszukiwane są książki kucharskie i czterotomowa encyklopedia PWN, kosztująca tutaj wiele, bo aż 100 dolarów.

Na liście najbardziej pokupnych pozycji prasowych widnieje „Przegląd Sportowy" i „Sport" a następnie „Przekrój", „Przyjaciółka", „Kobieta i Życie"...

Niezbyt radosne refleksje budzi ten rejestr, choć ostrzegałbym przed jednoznaczną jego interpretacją dopóty, dopóki nie uda się ustalić, w jakim stopniu z księgarni pana Puacza korzysta rzeczywista Polonia amerykańska, a w jakim — owe tysiące naszych rodaków, które oblepiają Milwaukee Avenue okazjonalnie, przez rok czy dwa lata, aby powrócić następnie do kraju z taką sumą dolarów, która pozwala na kupno „Poloneza" i innych delikatesów. Poza pracą w charakterze robotników niewykwalifikowanych i sprzątaczek, ludzie ci przesiadują na ogół w polonijnych knajpach, gdzie piją tęgo i podskakują w rytmie narzuconym przez pana, na przykład, Klenczona, cenionego tu głównie przez grupę Cyganów szczecińskich, ludzi zresztą sympatycznych, dobrze sytuowanych, obdarzonych szerokim gestem, o czym może poświadczyć właściciel „Violetta Langue", który w godzinach dziennych pracuje w jakimś hotelu, a wieczorem — w piątki, soboty i niedziele — otwiera własny interes, oferujący wyłącznie tańce, alkohol, wody gazowane i słone paluszki. Kto nie lubi tańców, może posiedzieć w restauracji „Teresa" lub „Kasztelanka", albo pograć w bilard w barze zwanym przez górali „U Dziadów", gdzie nierzadko dochodzi do pojedynków bokserskich i szermierki na kije, co Amerykanów nie dziwi, jako że zapasy takie mieszczą się bez reszty w stereotypie człowieka znad Wisły. Wszak już autor „Ziemi jałowej" odnotował, że zabito Szkota na polskiej zabawie...

Na pozór(, z daleka, wszystko jest tu imponujące. Istnieją setki różnych organizacji polonijnych na czele ze Związkiem Narodowym Polskim i Zjednoczeniem Polskim Rzymsko-Katolickim, które obchodzi swoje stulecie. W Chicago istnieje 56 kościołów ufundowanych przez Polonię i tyleż „polskich parafii", wspomaganych materialnie przez polonijnych parafian. Piszę o tych parafiach „polskich" w cudzysłowie, bowiem kiedy papież zezwolił odprawiać msze św. w ojczystych językach, to „polskie" parafie z łaciny przeszły na angielski, ponieważ polonijny kler przeważnie nie zna mowy polskiej. Długa jest tu lista instytucji związanych z polską kulturą. Taką czołową placówką jest Muzeum Polonii w Chicago... — stwierdza dalej Puacz, nie ukrywający na kolejnych stronach książki swojego zatroskania, spowodowanego działalnością owego muzeum.

Polish Museum of America mieści się w budynku Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego przy 984 Milwaukee Avenue. Założone w roku 1935 z inicjatywy Mieczysława Haimana, wybitnego historyka polskiej obecności w USA, przez wiele lat gromadzącego dokumenty i pamiątki z życia naszych rodaków za oceanem, w swej obecnej postaci budzi mieszane uczucia.

Nie ulega wątpliwości, że muzeum posiada wiele cennych materiałów historycznych oraz dzieł sztuki, które trafiały tam różnymi drogami i nierzadko w dramatycznych okolicznościach. Na przykład z pawilonu polskiego Wystawy Światowej w Nowym Jorku w 1939 roku skierowano do Chicago kilkadziesiąt przynajmniej obrazów, rzeźb, grafik i wyrobów rzemiosła artystycznego, ponieważ majątek ten nie mógł powrócić do okupowanego kraju. Inwazja niemiecka na Francję spowodowała przekazanie muzeum w depozyt kolekcji szabel po marszałku Piłsudskim, znajdującej się dotąd w paryskiej Bibliotece Polskiej. W latach sześćdziesiątych Muzeum Narodowe w Warszawie zdeponowało w placówce dzieła współczesnych malarzy i grafików polskich, pragnąc przybliżyć naszą sztukę dzisiejszą środowiskom polonijnym. Z tych wszystkich wartości można by urządzić atrakcyjną i pouczającą ekspozycję, przyciągającą uwagę nie tylko Kowalskich, ale i Smithów.

Tymczasem sale wystawowe muzeum przypominają dziś panopticum, coś w rodzaju zbiorów księżnej Izabeli Czartoryskiej, w których obok rzeczy cennych znajdowały się wątpliwe relikwie i pantofel Montezumy. Co uchodziło jednak inicjatorce polskiego muzealnictwa w XVIII wieku, musi smucić i irytować w budynku szczycącym się mianem Polish Museum of America. Bo przy Milwaukee Avenue spotkać można: portrety generałów z ostatniej wojny, sztukę ludową, akwarele Kościuszki, halabardy, stacje Męki Pańskiej, kute świeczniki, rzeźby Szukalskiego, kute w metalu bramki ozdobne, figury (woskowe?) Heleny Modrzejewskiej w autentycznych strojach wielkiej aktorki oraz wiele obrazów o różnej, nierzadko wielkiej, wartości. Jest to eksponowane bez ładu i składu, bez żadnej myśli porządkującej, bez elementarnej znajomości zasad obowiązujących w muzealnictwie.

Na domiar wszystkiego wiele dzieł sztuki niszczeje w oczach. Kiedy, zmyliwszy osoby oprowadzające mnie po muzeum, wdepnąłem cichcem do magazynu malarstwa, zdrętwiałem na widok dużego obrazu Andrzeja Pronaszki z lat, jak przypuszczam, dwudziestych, z którego farba złaziła wielkimi, podwijającymi się ku górze płatami. Śmiem przypuszczać, że do tej pory z dzieła pozostało już tylko gołe podobrazie.

Owszem, muzeum stara się chronić obrazy przed zniszczeniem, od dłuższego czasu konserwacją płócien zajmuje się Józef Sulma, specjalista po krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, który zabezpieczył dotąd około 20 malowideł, w tym „Pułaskiego pod Savannah" Stanisława Batowskiego (pół roku pracy), ale są to działania zbyt skromne wobec potrzeb.

Wspomniane Zjednoczenie nie posiada podobno środków, aby urządzić muzeum z prawdziwego zdarzenia i na bieżąco konserwować eksponaty. Krążą wszakże i opinie innego rodzaju, odmawiające opiekunom placówki kompetencji i zrozumienia dla sztuki. Są to zarazem ludzie bardzo czuli na wszelkie głosy krytyczne pod adresem muzeum, o czym na własnej skórze przekonał się pewien bibliotekarz z Kórnika, który w chicagowskiej telewizji polonijnej ośmielił się ochrzcić instytucję mianem „powiatowej". Nazajutrz nie wpuszczono go po prostu do budynku muzeum. A Edwardowi Puaczowi przestano wysyłać zaproszenia na imprezy muzealne od momentu, kiedy publicznie przedstawił fatalny stan placówki, formułując zarazem konkretne wnioski, których realizacja mogłaby uzdrowić sytuację i przekształcić instytucję w przedmiot dumy i opieki całej Polonii, a nie tylko jednej organizacji, *zazdrośnie strzeżącej przywileju zarządzania Muzeum.*

Artykuł Puacza ukazał się w 1969 roku. Po kilku latach autor stwierdził, że *w położeniu Muzeum żadne istotne zmiany nie nastąpiły.* Dodał też, że wycofuje się z propozycji oddania placówki pod opiekę *całej zorganizowanej Polonii w USA* ponieważ *w organizacjach społecznych Polonii zainteresowanie przyszłością Muzeum jest małe.* Tym majątkiem powinny zająć się takie instytucje, jak Fundacja Kościuszkowska lub Polski Instytut Naukowy.

Od siebie dodam, że wizyta w The Polish Museum of America w roku 1980 wprowadziła mnie w głębokie zakłopotanie, tylko w drobnym stopniu spowodowane kompletną niewiedzą pracowników na temat: gdzie znajduje się cykl obrazów historycznych „Bractwa św. Łukasza"? Niewielkie pocieszenie mogłem przy tym czerpać z faktu, że w muzeum natknąłem się na wystawę grafiki Maksymiliana Snocha, zaopatrzoną w kartkę z napisem: „Lublin, Poland" i strzeżoną przez dwie okazałe halabardy.

Ireneusz J. Kamiński

Nosiłem pięknego srebrnego orła...

Bohdan Królikowski

Zostały dwa ordery
Listy związane wstążką
z monotonnie wybijaną przez pocztę pieczątką

Portret na ścianie
już nierzeczywisty
i fotografia chłopca w mundurze legionisty.

(Marek Skwarnicki „Ostatnia brygada")

Żyje już niewielu. Nie oszczędzały ich kule wroga, a i życie nie rozpieszczało nadmiernie. Zwłaszcza w okresie powojennym, przez co najmniej dwanaście trudnych lat. Dziś, gdy przygrzeje słońce, wychodzą na skwerki i do parków. Zgarbieni, oparci na laskach. Ubrani skromnie, jak to emeryci. Mają po osiemdziesiąt lat, po osiemdziesiąt pięć. Ale kiedy rozpocząć rozmowę o dawnych czasach, zaczynają im błyszczeć oczy, a starcze zniekształcona ręce zaciskają się na laskach, jakby to były rękojeści szabel czy kolby karabinów.

Spora ich część spomiędzy tych, co wybrali służbę wojskową jako zawód, dożywa lat na obczyźnie. To właśnie o nich mówi cytowany wyżej wiersz, gdzie w dalszym ciągu opisany jest smutny pogrzeb w dalekim kraju, na obcej ziemi.

Byłem raz na takim pogrzebie. Na małym polskim cmentarzu w jednym z największych miast świata. Stałem wśród starców, których nazwiska spotyka się w książkach o naszej historii najnowszej. Patrzyłem, jak składali do grobu trumnę ze zwłokami swego kolegi. Słuchałem słów pożegnania. Widziałem, jak sypano do grobowego dołu polską ziemię z małych woreczków. A potem oglądałem najsmutniejszy z polskich pomników i przypomniałem sobie wiersz Słowackiego o pogrzebie kapitana Mayznera: „Wzięliśmy trumnę biedną ze szpitala..." — Dziwna jest historia Polaków.

Co roku w listopadzie myślę o nich. Wspominam rozmowy, jakie z nimi prowadziłem. Czasem przypadkowe, urywane. W pociągu, w parku, w szpitalu. Niekiedy dłuższe, ciągnące się w noc, przy kieliszku wódki czy szklaneczce whisky. Trudno by mi było przytoczyć tu którąś z tych rozmów w całości, pokazać pełną sylwetkę jednego ze starców, którzy sześćdziesiąt dwa lata temu jako młodzi chłopcy, sztubacy czy studenci, wkładali pospiesznie mundury, jeszcze nie polskie, sięgali po karabiny, a do czapek przypinali orły, polskie orły.

To tylko strzępy rozmów, fragmenty wspomnień. Małe szkiełka, z których chciałbym ułożyć choć fragment mozaiki połyskującej bielą na amarantowym tle, z dodaniem zieleni i szarości przeróżnych mundurów, połysku stali i czerwieni krwi.

Był listopad roku 1918. Waliły się cesarstwa. Zrzucano ze ścian i z murów czarne orły. Zrywano okupantom oficerskie szlify. Odbierano im broń. Wyciągały się po nią łapczywe ręce zabiedzonych młodzików w wytartych kurteczkach, w butach z dziurawymi zelówkami. Rzucali szkolne ławki, opuszczali sale wykładowe, odchodzili

Dokończenie na str. 10

Jan Królikowski, ochotnik Pierwszego Pułku Ułanów Krechowieckich

Kamena str. 9

W kieszeni sportowców

Dokończenie ze str. 1

zł, a tak tylko można płacić w III lidze, będzie niezadowolony.

— *Ale etaty pozostają?*

— Oczywiście, pozostają. Mamy jeszcze dwa półetaty dla siatkarzy w mieście, ale dzisiaj widziałem pismo wymawiające „pracę" w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej jednemu z tzw. półetatowców, siatkarzowi. Dostawał 1,8 tys. zł.

— *Czemu mu wymówili?*

— Nie motywują w piśmie ale dla mnie jest zrozumiałe, widocznie załoga tę sprawę podniosła u siebie, to jest w PGKiM. Myśmy się z tym liczyli.

— *To dotyczy czołowego siatkarza I ligi?*

— Tak. Rok wstecz powstała rada patronacka klubu i ustalono, że dyrektorzy przedsiębiorstw będą w ramach swoich możliwości dawać półetaty. Dopięliśmy dwa, dyrektorzy zadeklarowali ich przydzielenie.

— *A jeśli w wyniku akcji protestacyjnych robotników, bo są takie głosy, trzeba będzie w sporcie całkowicie zlikwidować fikcyjne etaty, to jak kluby sobie wyobrażają dalsze finansowanie zawodników?*

— Teraz, gdy zawodnik ma dwa treningi dziennie, to jest niemożliwe, aby pracował i trenował. Myślę, że jedynym wyjściem jest finansowanie zawodników z budżetu klubu, dając im dotychczasowy zarobek, np. I liga 12 tys. zł. Ale są kluby I-ligowe, gdzie zawodnicy zarabiają więcej, właśnie dzięki półetatom, zwłaszcza w większych miastach. Uważam, że robotnik nie powinien pracować na zawodnika, a tak przecież jest, więc klub winien mieć swój budżet, ściśle rozliczany.

— *Sportowcy też ciężko pracują, owszem, ale skąd klub będzie brał pieniądze na ich opłacanie?*

— Głównie z budżetu. Wiadomo dziś, że np. Motor by sobie poradził, gdyby piłkarzy zwolniono z FSC, choć wiemy też, jakie mają trudności finansowe. Oni z samych biletów utrzymaliby pierwszoligową sekcję piłki. Ale to jest Motor, a znam wiele I-ligowych klubów, gdzie na mecze przychodzi tylko pięć tysięcy ludzi. Nie mówię już o klubach drugoligowych.

— *Ile etatów w skali zakładu przypada na sportowców?*

— U nas około 1 procenta. W skali kraju jest podobnie, 1—1,5 proc. To jest dużo.

— *W przypadku waszego siatkarza mogło być tak, że nie załoga zdecydowała o jego zatrudnieniu. A gdyby to od początku była decyzja całej załogi, wtedy można by ją cofnąć, gdyby zawodnik grał źle, pił, awanturował się itp. Ale obecne kłopoty klubów z etatami to chyba kwestia, że nie załogi decydowały o zatrudnieniu sportowców. Jak to się działo?*

— Uważam, że zazwyczaj tam, gdzie zawodnik jest na pełnym etacie, robotnicy wiedzą o tym i nie podnoszą sprawy. Myśmy jeszcze w marcu chodzili na wydziały WSK i zdawali relację z działalności. Załoga WSK wie o fikcyjnych etatach, choć może nie wszyscy znają dokładnie ich ilość. Sądzę jednak, że najdrażliwsze są sprawy półetatów.

— *Czy nie istniałaby możliwość odprowadzenia tego 1 procenta z funduszu płac i wpisania go, już niefikcyjnie, do budżetów klubów?*

— Nie wiem, co by na to powiedzieli ekonomiści, ale dla nas byłoby to bardzo dobre.

— *Jest pytanie, czy ten 1 proc. zatrudnionych sportowców bierze tylko jeden procent z funduszu płac, bo może być większy?*

— Tak, prawdopodobnie to może być — 1,5—2 procent. U nas na 70 osób, 50 ma najwyższe stawki, pozostali mają nieco mniej.

— *Przy takiej zmianie struktura klubu też by się chyba musiała zmienić. Trzeba by zostawić tylko opłacalne sekcje.*

— No tak, opłacalne? U nas nie ma sekcji, która by przynosiła dochód. Trzeba by w ogóle zlikwidować sport.

— *Po co więc dotować taki klub, który nie mógłby się sam utrzymać? Jest kwestia, czy choć jeden klub w Polsce by się utrzymał? Bo ogólnie chodzi o wyczyn. Utrzymujemy utajone zawodowstwo dla wyczynu, a czy nie należałoby z tego zrezygnować i pójść na masowość sportu z wąską grupą opłacanych wyczynowców, wyłonionych z amatorów?*

— To jest możliwe, by zorganizować jedną sekcję wyczynową w województwie.

— *Naszym zdaniem, paradoks obecnej sytuacji polega na tym, że sportowców się finansuje z dotacji państwowych, poprzez etaty, dziwne sposoby organizowania pieniędzy na premie, w piłkarstwie zwłaszcza. Sport nie jest samofinansujący się, ale dochody piłkarskie kształtują się na zasadach wolnorynkowych, bo żądania zawodników powodują ciągłą eskalację. Jeszcze parę lat temu ich dochody takie nie były.*

— Nie były, zgoda.

— *No więc, skoro tak, to niech zarobią na siebie. Tylko, że to by oznaczało, iż patałachy nie mogłyby żądać. Czyli won ze sportu wyczynowego, bo nie z masowego przecież. Obecnie III liga jest w sytuacji wyczynowców, zawodowców, a powinni tracić te możliwości przy spadku z wyższej kategorii. Taka drużyna, która przyciąga na swój mecz pięćset kibiców, zarobi po te 6—8 tysięcy na każdego?*

— Nie, nie zarobi, ale ok. 80 procent klubów w Polsce splajtowałoby. Zostałoby tylko 10 klubów, powiedzmy.

— *Byłoby ogromne zaplecze typowo amatorskie. By zeń wyjść, trzeba by rzeczywiście pracować nad kwalifikacjami, by zarobić. Jak pan jako praktyk ocenia takie propozycje?*

— Tak samo jest w Anglii. Trzeba by i u nas ustalić, ile będzie klas rozgrywkowych. Władze nie chcą nazywać tego zawodowstwem, ale to chyba tak jest. W piłce nożnej np. 2—3 klasy rozgrywkowe, bo na pewno trzeba ograniczać. W niższych klasach mógłby być wymóg, że sportowiec musi pracować te cztery czy pięć godzin w zakładzie.

— *To, że powstał taki obłudny system, to nie przypadek podobno. Jak nam tłumaczyli działacze pewnego klubu, utrzymywanie na siłę statusu amatorstwa i zarazem finansowanie go ze społecznych pieniędzy jest potrzebne dla celów propagandowych, do statystyk olimpijskich.*

— Tak, tak. Jeszcze uważam, że można by ustalić w I lidze nie 12 tys. zł, ale 6 tysięcy wynagrodzenia podstawowego. Ale zarazem premie za mecz nie 5 tysięcy, lecz 10. Bo jeśli dobrze grasz masz dobre dochody. To nie załatwi sprawy, że przyjdzie nie tysiąc, ale 10 tysięcy kibiców na mecz, bo to zależy również od środowiska, ale byłby pewien bodziec do lepszej gry. Więcej płacić za pracę, za wynik, za jakość roboty. Atrakcyjność spotkań na pewno by się poprawiła.

— *Myśmy słyszeli opinię w pewnym dużym klubie, że gdyby teraz pisać o tych fikcyjnych etatach, szybszych „awansach" z grupy na grupę sportowców niż robotników, o budżecie pochłaniającym fundusz płac itd., to do czasu uregulowania przepisów stworzy się ferment wśród ludzi i zaszkodzi się sprawie sportu.*

— Proszę panów, sądzę, że byłoby tak, jak powiedziano w tym klubie. Ale na terenie Świdnika byłby mniejszy ten ferment niż ogólnie w kraju. Uważam, że gdyby wszystko wyciągnąć i napisać, to w kraju ludzie by marudzili, krzywili się, ale w Świdniku byłoby to znacznie mniej drastyczne, bo myśmy już wcześniej informowali załogi o stanie faktycznym.

— *Pan powiedział: gdyby wyciągnąć wszystko, ale wszystkiego nikt przecież nie powie.*

— A czy to wszystko nie było wiadome, tylko teraz mówi się głośniej i więcej?

— *Przy obecnej fikcji niewłaściwie operuje się finansami nie tylko w sprawach dotyczących zawodników, lecz i działaczy.*

— Są różne wieści i plotki.

— *Są, ale obecny system przepływu finansów w sporcie pozwala im przerastać rzeczywistość.*

— Na pewno jest jasne, że wiele klubów oprócz pieniędzy oficjalnych stosuje drugi taryfikator, tzw. pieniędzy lewych. Wypadki takie bywały.

— *Gdzieniegdzie, nawet władze wojewódzkie muszą się posuwać w obecnym układzie do pewnych kamuflaży przy przekazywaniu pieniędzy dla klubów.*

— Ale wojewoda nie przekazuje lewych pieniędzy oficjalnie na konto.

— *No tak, ale my słyszeliśmy od działaczy, że bywają takie pieniądze na zakupienie np. wyniku, bo klub nie ma funduszy.*

— Ale działacze muszą jakoś przetransmitować te pieniądze. A to nie jest prosta rzecz.

— *Nie jest, ale jakoś się wypracowało sposoby.*

— Mają kluby swoje metody.

— *Generalnie: te wszystkie sprawy trzeba uzdrowić, ale przecież my tu z panem poruszamy drażliwą sprawę, zaglądamy w kieszenie sportowcom. Jak pan sądzi, pisać o tym, czy nie?*

— No, ja uważam, z punktu widzenia Świdnika, należy pisać. Może inaczej widzą to w innych klubach. Bo zajrzeć zawodnikowi do kieszeni, w każdej chwili można. W warunkach świdnickich nie będzie to kieszeń wypchana za bardzo. W górniczych klubach te sprawy stawia się ostrzej.

— *A jakie były postulaty załogi WSK wobec waszego klubu?*

— Sto dziesiąty postulat dotyczył zaniechania administracyjnych nacisków na pracowników, którzy nie chcą płacić składek na rzecz klubu. To był wniosek jednego z wydziałów.

— *Inna sprawa niejasna, działacze pewnego klubu nie wyjaśnili nam tego: kamufluje się część zysku z biletów za mecze. Po co się to robi?*

— Zrozumiałe dla każdego, choć są przepisy o rejestrowaniu biletów, że jeśli jest dużo ludzi na stadionie, istnieje możliwość puszczenia lewych biletów. Jeśli np. w I lidze jest ustalona wysokość premii, to niech panowie zapytają zawodników, czy rzeczywiście biorą te 6 tys. złotych. Skądś nadwyżkę trzeba brać, tak sądzę. Skąd? Nie wiem. To chyba jest jedno ze źródeł dopłacania.

— *No więc reformować sport, czy nie?*

— Na podstawie opinii w naszym, świdnickim środowisku i klubu uważam, że trzeba reformować. Sądzę, że nie wszyscy jednak chcieliby tego. Ale taki klub, jak nasz, na pewno zyskałby na tym.

— *A czy działacze np. dużego klubu w Lublinie powiedzmy, zgodziliby się tak samo jak pan?*

— Ja wam nie powiem, czy oni też by to powiedzieli. Ha, ha, ha, to zrozumiałe, panowie.

Rozmawiali: **Michał Pielak**
Bronisław Kowalski

Nosiłem pięknego srebrnego orła...

Dokończenie ze str. 9

od warsztatów. Nieco starsi spośród nich wyciągali z szaf mundury, legionowe czy z Korpusów Wschodnich, i skubiąc zaczątki wąsów, uczyli żółtodziobów — ochotników, którym końcem strzela karabin: „Żebyśta się nie postrzelili, ofermy sakramenckie!".

Waliło bractwo do tego wojska jak w dym. Zbierali się na dworcach, jechali grupkami do miejsc formowania pułków. Rypali piechotą po rozmiękłych gościńcach gdzieś spod Puław czy Nałęczowa. Meldowali się w Lublinie u cwaniaka podoficera, by zaraz potem odbierać manlichery austriackim „trepom". Zostawiali posady, intrytne „kondycje" w majątkach (biło tam niejedno panieńskie serduszko), siadali na darowane wierzchowce (co lepsze zabierano potem w koszarach nieśmiałym ochotnikom). Zbierali się w Zamościu, w Kraśniku. Formowano z nich szwadrony pułku lubelskich ułanów.

Inni, niewiele później, prosto ze szkoły, z warsztatu, szli do powstańczych oddziałów w Wielkopolsce czy na Śląsku. Stawali obok weteranów spod „Werdunu". Nie zważali na brak munduru czy butów, byleby orzeł na czapce, choćby i cywilnej, byleby jaki mauser w spoconej z przejęcia dłoni.

Zaciera się już w ich pamięci, w pamięci ochotników sprzed sześćdziesięciu dwu lat, wyrazistość obrazów. Gdy pytam o szczegóły umundurowania, uśmiechają się przepraszająco: „No, wie pan... po tylu latach". — Niekiedy wyciągają fotografie. Pokazują z dumą podobizny swoje i kolegów w różnorakich kurtkach, płaszczach i kożuszkach. Stoją i siedzą na tych zdjęciach zuchowaci młodzieńcy, opierając się na pasach, na szablach. Czapki na bakier. Maciejówki, wysokie rogatywki wielkopolskie, furażerki. Orły na fotografiach rozmazane, niewyraźne, widać ledwie połysk, czasem zarys tarczy.

Jakież to były orły? Dużo by mówić. Kiedyś, po odczycie na ten temat, zapytał mnie starszy pan, oficer ułanów, zresztą kontraktowy, Gruzin. Zapytał, niby to „biorąc na fundusz": „A jakiego orła ja nosiłem w dziewiętnastym roku? — Wskazałem jednego z tych, co były wówczas w użyciu: „Takiego, panie majorze" — Rozjaśnił się w uśmiechu. Uścisnął mi rękę.

Wielu z nich ma zadziwiającą pamięć: sypią nazwiskami kolegów i dowódców. Opowiadają anegdoty (nie wszystkie do powtórzenia przy paniach). Wiedzą, jakie mieli karabiny, jakie nosili mundury, czapki... Z orłami gorzej. Pytam: „Jakie wydano wam orły, panie pułkowniku?" — „No, wie pan — odpowiada z namysłem — na tarczach, srebrzyste, piękne...".

Mam u siebie jednego takiego orła: pierwszego z mojej kolekcji. Mam też kilka starych fotografii. Na jednej z nich grupa ułanów: każdy w innej kurtce, z inaczej naszytymi proporczykami, porozsychane buty różnego kalibru wypucowane jak lustra. Wiadomo! do fotografii.

Jeden z nich to mój Ojciec, wówczas osiemnastolatek, smętny czegoś. Na innej fotografii jest sam. Naszywki plutonowego, Krzyż Walecznych, odznaka pułkowa. To po nim mam tego orła, nawet już nie srebrnego, z latami starła się z mosiądzu zewnętrzna powłoka, może jej zresztą i nie było? Prócz orła, ostrogi, Krzyż i kilka zdjęć.

Nigdy z nim nie rozmawiałem o roku osiemnastym. Nie zdążył mi opowiedzieć, jak to na wieść, że „Polska wybuchła", zamiast do szkoły, do przerwanej nauki, puścił się spod Mechowa do Wolborza, bo tam właśnie formowano jeden ze szwadronów jego późniejszego pułku.

Czy to ważne, że to akurat on? Mogłem być i ja. Byłem w jego wieku już studentem, ale przecież — w roku osiemnastym — poszedłbym do ułanów. No, bo niby gdzie? Tak samo zresztą poszedłby i jego wnuk. Ma dziś tyle lat, co dziadek w Listopadzie. Są nawet do siebie podobni.

Nie rozmawiałem z ojcem o roku osiemnastym, o jego ułańskich przygodach, wtedy i później, o wojowaniu. A przecież, patrząc na fotografie, biorąc do ręki orła, zdaje mi się niekiedy, że o tym opowiadał: o koniach, szabli, o ułańskich proporczykach. O zimnych koszarach, o czarnej kawie z kotła, o krzykliwym wachmistrzu. A wreszcie o czapce, okrągłej czapce z amarantowym otokiem, na której nosił pięknego srebrnego orła.

Bohdan Królikowski

Kamena str. 10

POCZTA literacka

Władysław K. Olsztyn. To nie są wiersze w potocznym rozumieniu, raczej rozbudowane (rozgadane) fraszki o kilku pointach w każdej. W sumie bezbarwne.

Konrad S. Tarnogród. Jak wyżej, albo jeszcze słabsze. Jakież przeżycie gotuje Pan czytelnikowi „Zawiadomieniem":

„Przyjdę do ciebie w środę
bez względu na pogodę".

Czyż nie jest na tle tego banału, ideałem skrótu i szczerości intencji zasłyszany kiedy, najkrótszy telegram kochanków: „Szampan w lód. Stop. D... w wodę. Stop. Przyjeżdżam w środę. Stop".

Edmund S. Wola k. M. Panie doktorze! Co otworzę kolejną przesyłkę, to znajduję fraszki. Dlaczego naród ostatnio tak zajadle fraszkuje? Przy czym ze szczególnym upodobaniem, graniczącym z sadyzmem — na temat naszego życia społecznego i nie tylko społecznego. Parada miernot, nędzników, wielkich i małych cwaniaków, a także zdradzających żon i mężów.. Co do tych ostatnich — czy może mnie Pan poinformować, m.in. jako lekarz, gdzie podziewają się po śmierci ci wszyscy nędznicy, oszuści, pijacy i bydlaki, skoro wszystkie nagrobki cmentarne zaczynają się i kończą niezmiennie tym samym: najukochańszy, nieodżałowany, najczulszy?

Teresa O. Bydgoszcz. Marek o niczym się nie dowie, choćby dlatego, że nie czyta „Kameny". Odpowiadam więc w Poczcie, a nie listownie. „Niech Pan je sobie przeczyta do poduszki, pomyśli i spróbuje je ocenić" — pisze Pani w liście polecającym wiersze swojego chłopca. Skoro już rozmawiamy szczerze, to przyznam, że „do poduszki" czytuję zupełnie inne, przeważnie dziwne rzeczy, ostatnio na przykład szalenie popularną przepowiednię o niechybnym końcu świata, mającym nastąpić w 1986 roku: o Antychryście, żółtej rasie, gigantycznych trzęsieniach i zaćmieniach. Po takich wizjach lepiej mi się śpi, co w moim wieku nie jest już bez znaczenia. Tymczasem wiersze Marka tchną szczęściem i męką rozstań z Panią. Czemu mam się w tę idyllę mieszać ze swoją bezsennością? Oczywiście Marek wiersze przestanie pisać, zostanie oschłym prawnikiem, a miłość wasza zapewne przejdzie w jej ohydną antynomię — małżeństwo. Wtedy owszem, proszę przysłać mi wiersze Marka. Do poduszki. List kończy Pani zapewnieniem: „Od następnego tygodnia będę regularnie kupować „Kamenę". Otóż niekoniecznie. Po pierwsze, nie wszystko można kupić za pieniądze, a po drugie, „Kamena" wprawdzie jest sprzedawana, ale nie sprzedajna.

Stanisław T. Biłgoraj. Znów fraszki.

Całość pańskiej przesyłki celnie streszcza fragment:

„Darmo spóźniona myśl się
zaleca
Diabli nadali tu wcześniej
Leca".

Dorota W. Lublin. „Nie jestem nastawiona na pisanie wierszy na poważnie". To widać. Ale pisanie „marzenie" przez „ż", wygląda nie tylko poważnie, ale groźnie dla uczennicy.

H.P.

EKRAN I WIDZ

Powiało kulturą!

ZWYKLE „Ekran i widz" zajmuje się sprawami dużego, czyli kinowego ekranu; ostatnio jednak zaczyna się coś dziać również na małym, telewizyjnym, ekranie. Nie tylko zreformował się — choć wciąż jeszcze niedostatecznie — Dziennik Telewizyjny, nazywany jeszcze tak niedawno złośliwie „Godziną dobrobytu" lub krócej: „Nawijaniem" (podobno — od kręcącego się wokół własnej osi wizerunku anten w czołówce Dziennika), ale nawet sprawy kultury zaczynają powoli odnajdywać w telewizji właściwe im miejsce. Zapamiętajmy datę 12 października: ten dzień świąteczny miał wreszcie charakter bardziej „Niedzieli Kulturalnej" niż „Sportowej Niedzieli": mniej ryku stadionów, kopania i boksowania, więcej — mądrej myśli emanującej z małego ekranu!

Kultura nie jest nudna, a ludzie z kulturą i sztuką związani nie muszą być nudziarzami! Tego „niesłychanego" odkrycia dokonał zapewne niejeden telewidz, który dotychczas preferował rozgrywki o Puchar Narodów lub mistrzostwa Europy w boksie. Ale też podano mu tę „kulturę" w sposób atrakcyjny, fascynujący i inteligentny... A cóż to za dziwo: przez prawie całą niedzielę 12 października mówiono o historii, filmie, teatrze, muzyce, książkach, prasie — i wszystko to przyciągało uwagę niczym „Studio 2" w swym pierwszym, prężnym jeszcze, okresie istnienia! Ano, zniknęli gdzieś etatowi „kulturowi" nudziarze, więcej głosu mają (do czego jeszcze Melchior Wańkowicz nawoływał) ludzie nie tylko mądrzy, lecz też obdarzeni osobowością: dr Marek Roztworowski, prof. Aleksander Gieysztor, prof. Janusz Tazbir, Teodor Parnicki...

To prawda. Ale rzeczą najważniejszą tamtej „niedzieli kulturalnej" był fakt podnoszenia problemów wysokiej rangi, mówienia o sprawach kultury w sposób jasny, dobitny i nieskrępowany, wreszcie: niepartykularny.

Dwa przede wszystkim punkty telewizyjnego programu stanowiły o istocie sprawy: „Głos w Sejmie" — retransmisja sejmowego wystąpienia Janusza Przymanowskiego, który zajmował się problemem kultury w naszym kraju, oraz „Literacka Nagroda Nobla 1980 — Czesław Miłosz" — specjalny program przygotowany niemal błyskawicznie, a prowadzony przez Wacława Sadkowskiego.

Czym było wystąpienie posła Janusza Przymanowskiego? Przede wszystkim, czym ono nie było! Nie było nudnym spiczem lejącym się leniwie z sejmowej trybuny, nie było ciastowatym odczytywaniem wielostronicowego referatu, nie było potokiem słów naszpikowanych niewiele mówiącymi liczbami, pomnożonymi przez nieokreśloną ilość wytartych sloganów. Było natomiast wystąpienie Przymanowskiego mądrym, gorącym, dosadnym, nie pozbawionym wielu akcentów humorystycznych i wręcz satyrycznych, przemówieniem w obronie kultury polskiej. Więcej, było swoistym oskarżeniem. Ja bym ten „występ" Przymanowskiego określił jako bezprecedensowy — jak dotąd — „show sejmowy". I mówię to w jak najbardziej pozytywnym rozumieniu takiego właśnie występu. Bo i prezenter był wspaniały i „widownia" śmiała się i biła brawo, a co najważniejsze: w dowcipny sposób podane fakty i argumenty trafiały i zapadały — to się czuło — słuchającym głęboko w serce. „I śmiech potrafi być nauką" — jak stwierdził dwieście lat temu poeta-biskup Ignacy Krasicki.

Otóż, jak wywiódł precyzyjnie (mimo satyrycznego ujęcia) Janusz Przymanowski, kultura dla rozwoju kraju jest nie tylko niezbędna: ona jest jeszcze opłacalna! Mówca po prostu wyśmiał mit o „nieopłacalności" (w sensie materialnym) naszej kultury. Pisarz-pułkownik z werwą szefa sztabu armii wyliczył, ile pieniędzy (także w twardej walucie) przynoszą nasze filmy, wydawnictwa książkowe czy muzyczne i ile mogłyby jeszcze przynosić, gdyby stworzono im odpowiednie warunki rozwoju...

Nie trzeba przytaczać kolejnych stwierdzeń posła Janusza Przymanowskiego; słuchaliśmy ich wszak z zapartym tchem przy telewizorach. Nie mogę pominąć jednak dwóch, które uderzyły mnie najmocniej, choć każde w inny sposób. Pierwsze — że kiedy kraj nasz dźwigał się dopiero ze zniszczeń wojennych, na każdego Polaka przypadało 5 wydanych w ciągu roku książek, podczas gdy dzisiaj — 4,1. Drugie — że całej rewolucji socjalistycznej dokonywaliśmy wszak w końcu po to, żeby człowiek, wyzwolony z warunków, jakie narzucał mu niesprawiedliwy ustrój społeczny, mógł swój wolny czas poświęcić m. in. na kulturę, na swój osobowościowy, ludzki, humanistyczny rozwój.

M.D.

OKOLICE SZTUKI

Malowane na kresach

ZPRZYPADKU tego wynika jakaś ogólniejsza nauka, więc chciałbym tym razem poinformować, co widziałem ostatnio w Białymstoku.

W pierwszej kolejności widziałem pałac Branickich, tyle silny, ile lekki w swej bryle, otoczony parkiem z galerią rzeźb. Z pewnej odległości „Wersal podlaski" potężnego hetmana raduje nawet oko, ale po bliższych oględzinach widać wyraźnie liszajowate zacieki na murach budowli, głęboko spękane i wyżarte przez wodę tynki oraz różne zwięzłe i głupkowate inskrypcje na ścianach, pochodzące niewątpliwie z ostatnich lat naszego stulecia. W parku także kiepsko: obok posągów dumnych walają się w błocie rzeźby strącone pewną dłonią młodzieży oraz dorosłych, owych licznych grup biwakujących tutaj wieczorami, jako, że teren jest nie strzeżony, choć otoczono go wysokim płotem.

Ciekawe: ten pałac powinien właściwie trzymać się krzepko, jako, że z poważnych zniszczeń odbudowano go stosunkowo niedawno, bo po drugiej wojnie światowej. Widać, że obiekt nie miał szczęścia do dobrego gospodarza, a Akademia Medyczna korzystała zeń bez oglądania się na wartości pozamaterialne budowli, która zresztą nie nadawała się chyba nigdy na locum dla szkoły tak specyficznej.

Następnie w Białymstoku widziałem Muzeum Okręgowe, które dziwnym zbiegiem okoliczności zajmuje budynek pochodzący z tego samego (XVIII) wieku, co pałac, budynek także wypalony podczas minionej wojny. Będąc w środku, z przyjemnością stwierdziłem, że nie obowiązuje już zakładanie kapci na obuwie, a galeria malarstwa polskiego, skupiająca dużo wartościowych obrazów (Malczewski, Boznańska, Czyżewski, Kowarski, Ślewiński itd.), wygląda jeszcze lepiej, niż dwa lata temu. W jednej z bocznych sal natknąłem się ponadto na coś zupełnie nowego, a miejscami nawet rewelacyjnego. Był to pokaz nabytków muzeum z ostatnich czterech lat, obejmujący m. in. obrazy Lasockiego (nikt tak przed wojną krów nie malował!), ale i Stanisława Witkiewicza oraz samego Witkacego — z okresu, kiedy artysta nie „prowadził" jeszcze swojej firmy portretowej, oddając się uwiecznianiu kwiatków, pejzaży południowych miasteczek i łąk zielonych, tyle poprawnych, znamionujących znaczne talenta kolorystyczne, co bardzo konwencjonalnych, jakoś nie przystających do postaci, którą w wyobraźni współczesnych spowijają narkotyczne mgiełki. Na tejże wystawie spostrzegłem ponadto kilka płócien Czesława Wierusza-Kowalskiego, syna popularnego niegdyś Alfreda, zmarłego w 1915 roku, którego obrazy rodzajowe cenione są dość wysoko w Stanach Zjednoczonych Ameryki — ostatnio na 67,5 tys. dolarów — choć u nas zwykło się je lekceważyć. Pan Czesław liczy dziś niemal 100 lat, ale nie stracił werwy oraz niespotykanej aktualnie w środowiskach artystycznych pokory. Otóż za 25 bodaj obrazów chciał od białostockiego muzeum tyle że sama instytucja poczuła się zmuszona do zaproponowania wyższej ceny za owe prace z lat międzywojennych — uproszczone, dekoracyjne pejzaże, naprawdę godne uwagi.

O spotkaniu z tą twórczością wspominam zaś dlatego, ponieważ dowiedziałem się później od dyrektora Jana Jaskanisa, że muzeum zamierza w większym stopniu troszczyć się o sztukę z kresów przedwojennych, o twórczość powstającą wtedy w Wilnie i innych rejonach północno-wschodniej części kraju. A najbardziej znany z Wieruszów urodził się w Suwałkach...

Dowiedziałem się także, że Muzeum Okręgowe ma przejąć trzy rotundy wystawowe BWA wraz z kilkuset obrazami, grafikami i rzeźbami współczesnych autorów, które to Biuro zgromadziło w ciągu wielu lat, dorabiając się ostatecznie kolekcji znakomitej (złożonej m. in. z prac malarzy lubelskich: Władysława Filipiaka, Krzysztofa Kurzątkowskiego i Jana Ziemskiego). Tym sposobem muzealne zbiory sztuki współczesnej zostałyby sensownie uzupełnione i chronologicznie przedłużone do naszych dni, co przy braku w Polsce muzeum sztuki nowoczesnej postawiłoby Białystok w ważnym punkcie krajowej mapy kulturalnej.

Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałem, przyszło mi na myśl, że najlepszym obiektem dla eksponowania wartości posiadanych przez ciasne Muzeum Okręgowe w Białymstoku byłby pałac Branickich, jego główny korpus, obok którego znajduje się zresztą siedziba BWA. Przy okazji sam zabytek zyskałby solidniejszego opiekuna...

IJK

KOMUNIKAT

KOMITETU POROZUMIEWAWCZEGO ŚRODOWISK KULTUROTWÓRCZYCH W LUBLINIE

ZEBRANI w dniu 10 i 13 października 1980 r. i podpisani niżej przedstawiciele zarządów stowarzyszeń twórczych, komitetów założycielskich organizacji związkowych i przedstawiciele środowisk w trosce o dobro kultury w makroregionie lubelskim postanawiają zawiązać Komitet Porozumiewawczy Środowisk Kulturotwórczych w Lublinie. W skład komitetu wchodzą przedstawiciele: ZPAP w Lublinie, lubelskiego oddziału ZLP, oddziału SDP w Lublinie, Koła Młodych Pisarzy przy ZLP w Lublinie, koła SPATiF przy Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie, KZ NSZZ Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, KZ NSZZ UMCS — Wydział Humanistyczny, KZ NSZZ Muzeum Okręgowego, środowiska bibliotekarzy.

Skład komitetu jest otwarty — mogą do niego wejść przedstawiciele innych organizacji twórczych i związkowych, które zgłoszą gotowość uczestnictwa w pracach komitetu.

KPSK w Lublinie wyraża zadowolenie z faktu powołania Komitetu Porozumiewawczego Związków Twórczych i Towarzystw Naukowych w Warszawie i solidaryzuje się w pełni z jego stanowiskiem dotyczącym żywotnych interesów kultury polskiej. Popieramy podejmowane w tych sprawach działania stowarzyszeń twórczych i towarzystw naukowych.

Komitet zaniepokojony stanem kultury regionu chce być jej społecznym współgospodarzem; jego zawiązanie jest wyrazem woli ścisłego współdziałania wszystkich środowisk kulturotwórczych, sprawnej wymiany informacji między poszczególnymi środowiskami, inicjowania działań kulturotwórczych, pełniejszego zaspokojenia potrzeb kulturowych mieszkańców makroregionu i rozbudzania tych potrzeb. KPSK zamierza publicznie opiniować decyzje dotyczące kultury podejmowane przez administrację i kierownictwa instytucji kulturalnych, dokonywać analiz całokształtu lub poszczególnych problemów kultury regionu i przedstawiać je opinii publicznej i administracji wraz z propozycjami rozwiązań.

Komitet porozumiewawczy będzie się domagał od władz realizacji zgłaszanych postulatów i wniosków.

KPSK wyraża wolę współpracy z Prezydium MKZ NSZZ Regionu Środkowo-Wschodniego „Solidarność" w Lublinie.

Komunikat podpisali: Wanda Szwarc, Bogusław Wróblewski, Władysław [illegible], Elżbieta Wolińska, Krzysztof Paczuski, Ryszard Lis, Jan Smolarz, Zdzisław Strzałkowski, Andrzej Kołodziejek, Grażyna Czapska, Jerzy Kersa, Waleria Minewicz, Zbigniew Miazga, Maria Kaczkowska-Kuppel, Jerzy Świech, Henryk Pająk.

Komitet Porozumiewawczy Środowisk Kulturotwórczych powołał tymczasowe przywództwo w składzie: Ryszard Lis (ZPAP) — przewodniczący, Bogusław Wróblewski (Koło Młodych ZLP), Władysław Panas (KZ NSZZ KUL), Zbigniew Miazga (SDP).

Komitet porozumiewawczy zadecydował, że w najbliższym czasie przygotowana zostanie uchwała towarzysząca opinii środowisk kulturotwórczych o najważniejszych problemach kultury regionu oraz podjęte zostaną prace nad przygotowaniem kompletnego raportu w tej sprawie.

Tymczasowy adres KPSK: Związek Polskich Artystów Plastyków, Zarząd Okręgu, ul. Krak. Przedm. 55, 20-076 Lublin.

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (7)

Magia

Aleksander Mora

LUKIAN, żyjący w drugim wieku naszej ery, potwierdza realność zjawisk lewitacji (antygrawitacji) zdarzających się w starożytnym świecie. Opowiadając o bogu Apollinie w świątyni syryjskiego Hierapolis, Lukian opisuje „cudowne" zjawisko, którego był świadkiem: *Apollo opuścił kapłanów i został uniesiony w górę.*

Święty Krystian, chrześcijański misjonarz w Hiszpanii działający w trzecim wieku, potrafił, jak donosi Rufinus w swojej „Historii" (Księga 1), dokonywać wyczynów antygrawitacyjnych. Król i królowa Iberii polecili zbudować kościół i zdarzyło się pewnego dnia, że nie można było postawić na właściwym miejscu jednej z kolumn, która okazała się zbyt ciężka. Legenda mówi, że Krystian poszedł o północy do miejsca, w którym budowano kościół, i zaczął się modlić. Nagle kolumna uniosła się w powietrze i tak pozostała aż do rana kiedy to zdumieni robotnicy bez żadnego trudu przesunęli w powietrzu nieważką kolumnę na właściwe miejsce, w którym kolumna odzyskała swoją wagę i z łatwością została zamontowana na swojej podstawie.

Biografia Liu An w księdze „Shen Hsien Chuan" (czwarty wiek naszej ery) zawiera także anegdotyczny opis przypadku lewitacji. Kiedy Liu An przełknął swój taoistyczny eliksir, został uniesiony w powietrzu. Ale przez zapomnienie pozostawił naczynie z resztkami eliksiru na podwórzu i wkrótce dobrały się do niego psy i kury, wypijając wszystko, co się w naczyniu znajdowało. A wówczas — jak mówi ten historyczny zapis — *one także pożeglowały do nieba, zaś wśród chmur rozlegało się szczekanie psów i pianie kogutów.*

Nie odrzucajmy z lekceważeniem tego historycznego chińskiego opowiadania i nie traktujmy go jedynie jako anegdoty, bowiem niejedno już opowiadanie czy wschodnia bajka zostały potwierdzone przez fakty naukowe. Czyż nie podróżujemy dziś na „latających dywanach"? Czyż nie oglądamy różnych scen, odbywających się daleko od nas, na naszych współczesnych „magicznych zwierciadłach"?

Historyczne przekazy na przestrzeni dziejów potwierdzają realność zjawiska lewitacji. Jules Duhem w swojej książce na temat rozwoju aeronautyki opowiada o kronice prowadzonej przez zakonnika Francisco Alvareza, sekretarza ambasady portugalskiej w Etiopii w pierwszej połowie XVI wieku. W roku 1515 Alvarez pisał o klasztorze znajdującym się na górze Bidjan, gdzie w pobliżu kościoła Świętych Apostołów przez wiele wieków wisiał podobno w powietrzu złoty pręt o długości około półtora metra. To zjawisko było atrakcją przyciągającą do klasztoru liczne rzesze pielgrzymów, zaś Alvarez był zupełnie przekonany o autentyczności tego zjawiska, którego naturalnie nikt nie potrafił wtedy racjonalnie objaśnić.

Niemal dwa wieki później, mieszkający w Kairze francuski chirurg dr Charles Jacques Poncet, który podróżował po Etiopii, widział ten sam unoszący się w powietrzu pręt po prawej stronie kościoła w latach 1698, 1699 i 1700. W swoich „Lettres" (1717) dr Poncet mówi, iż podejrzewał, że jest to jakaś sztuczka mnichów i dlatego poprosił przełożonego klasztoru o pozwolenie obejrzenia latającego pręta ze wszystkich stron. Zakonnik wyraził zgodę, zaś francuski lekarz przeciągnął ręką poniżej, ponad i wokół pręta dla sprawdzenia, czy nie jest on jakoś umocowany. W swoim pamiętniku zaś zapisał: *Zaniemówiłem ze zdumienia, ponieważ nie mogłem znaleźć żadnej naturalnej przyczyny tego cudownego fenomenu.*

Brytyjczycy przebywający dłuższy okres czasu w Indiach niejednokrotnie donosili o jogach, którzy potrafili siedzieć w pozycji lotosu, unosząc się w powietrzu, albo siedząc w tej pozycji na powierzchni wody.

Według starożytnej, bo liczącej już ponad 2000 lat „Surya Siddhanta", adepci wysokiego wtajemniczenia, Siddhowie, mogli w zależności od swojej woli stawać się bardzo ciężkimi lub lekkimi jak piórko. Ten starożytny pogląd na zjawisko grawitacji, jako przejawu działania siły zmiennej, jest godzien uwagi.

W liście z dnia 14 lipca 1871 roku Anglik Lord Lindsay relacjonuje dziwne zdarzenie, jakiego był świadkiem: *Siedziałem w towarzystwie Pana D. D. Home, Lorda Adara oraz jego kuzyna. W tym czasie Pan Home wpadł w trans i w tym stanie uniósł się w powietrzu i wypłynął za okno. Wszyscy widzieliśmy Pana Home unoszącego się w powietrzu za oknem. Pozostał on w tym miejscu przez kilka minut, a następnie wpłynął do pokoju nogami do przodu i usiadł na swoim miejscu.* Okno mieszkania, o którym mówił lord Lindsay (5, Buckingham Gate w Londynie), znajdowało się na wysokości 23 metrów od ziemi.

Lewitacje D.D. Home opisywał także znany fizyk angielski sir William Crookes: *W trzech osobnych wypadkach widziałem go, jak unosił się z podłogi w powietrze. Raz siedząc w fotelu, innym razem, gdy klęczał na swoim krześle, i trzeci raz w pozycji stojącej.*

Sławna podróżniczka, Alexandra David-Neel, która zmarła w roku 1969 w wieku 101 lat, pisała o zadziwiających przypadkach lewitacji, z jakimi zetknęła się w Tybecie, gdzie spędziła 14 lat swego życia. W swojej książce pt. „Wśród mistyków i magów Tybetu" pisze: *Bez żadnej przesady jestem przekonana na podstawie mego, naturalnego ograniczonego, doświadczenia oraz tego, co słyszałam z ust wiarygodnych lamów, że można osiągnąć taki stan, w którym człowiek nie odczuwa wagi własnego ciała.*

Francuska podróżniczka miała jednak szczęście, ponieważ naprawdę widziała lamę kroczącego w transie. Ci lamowie stawali się prawie nieważcy i po okresie długiego treningu potrafili unosić się w powietrzu. Lama, którego ona widziała podczas swej podróży do północnego Tybetu, wykonywał skoki *z elastycznością piłki i za każdym razem, kiedy jego stopy dotykały ziemi, odbijał się, unosząc wysoko w górę.* Czytającemu te słowa przychodzą na pamięć „kangurze skoki" astronauty Armstronga, jakie wykonywał on, poruszając się po powierzchni Księżyca.

Tybetańczycy ostrzegli Alexandrę David-Neel, aby nie zatrzymywała ani nie odzywała się do poruszającego się w transie lamy, ponieważ mogłoby to spowodować jego śmierć wskutek szoku.

Kiedy lama poruszał się w opisany wyżej sposób z nadzwyczajną prędkością, francuska badaczka i jej towarzysze postanowili pojechać za nim na koniach, okazało się jednak, że nawet konno nie mogli go dogonić.

Alexandra David-Neel uzyskała szereg istotnych informacji na temat lewitacji. Podobno najkorzystniejszą porą dnia dla jej przeprowadzenia są poranki, wieczory i noce, zaś stan niezbędny do osiągnięcia nieważkości uzyskuje się na drodze głębokiego i rytmicznego oddychania oraz poprzez koncentrację umysłową. Po latach ćwiczeń, jak pisze David-Neel, stopy lamy przestają dotykać ziemi i może on poruszać się w powietrzu z bardzo dużą szybkością. Zabawnie to brzmi, kiedy autorka dodaje, że niektórzy lamowie specjalnie noszą ciężkie łańcuchy, aby nie zostać uniesionym w powietrze.

c.d.n.

U progu nowego sezonu koncertowego

Stefan Münch

POCZĄTEK sezonu w Filharmonii budzi w melomanach rozmaite nadzieje — w zależności od tego, jakiej muzyki i w czyim wykonaniu chcielibyśmy posłuchać. Na pewno jednak każdy życzyłby sobie, aby nowy sezon nie był gorszy od poprzedniego. Czy mógłby okazać się lepszy od jubileuszowego, 1979/80? Moim zdaniem, tak. *Lepsze jest wrogiem dobrego*, powiecie Państwo; we mnie jednak sezon miniony pozostawił uczucie niedosytu. Czy był lepszy od dwóch poprzednich (bo taki mniej więcej okres obejmują moje felietony w *Kamenie?*). I tu odpowiedź nie jest wcale prosta. Bez wątpienia dalszej i widocznej poprawie uległy możliwości i zgranie orkiestry, zwłaszcza w grupie instrumentów dętych (bardziej wyrównany skład, lepsze brzmienie). Nie było w tym sezonie zdecydowanie nieudanych produkcji orkiestry, można natomiast wymienić kilka bardzo dobrych: *Wielka Msza c-moll K.V. 427* Mozarta i *IV Symfonia c-moll* Schuberta (dyrygował Adam Natanek), *Pasja wg św. Jana* Bacha (Max Pommer), *Symfonia Es-dur K.V. 543* Mozarta (Henry Selbing) i *Symfonia Pieśni Żałosnych* Góreckiego (Marek Pijarowski). Należy także podkreślić aktywność lubelskich muzyków na polu kameralistyki (przede wszystkim Trio Stroikowe). Estradowe wykonanie *Strasznego dworu*, wieńczące jubileuszowe uroczystości, zasługiwało z pewnością na miano wydarzenia sezonu, o czym pisałem w *Ruchu Muzycznym* i w *Kamenie*.

Nieco inaczej, niż w poprzednich latach, przedstawiała się sytuacja z solistami. Wśród zagranicznych gości mieliśmy właściwie tylko jedno wielkie nazwisko (Światosław Richter), ale przyczyną jest tu nie tyle mała operatywność Filharmonii, ile znane ograniczenia dewizowe i wypełnione kalendarzyki solistów. I tu jednak da się wymienić kilku wykonawców, których produkcje stały na wysokim poziomie: Peter A. Zazofsky, Vladimir Cuchran, Ivan Klanski, Gisela Burkhardt i Albrecht Lepetit.

Nieco inaczej było z solistami krajowymi. Kilkoro z nich, z różnych powodów, odwołało uprzednio zaplanowane występy — jak Wanda Wiłkomirska, Kaja Danczowska, Andrzej Hiolski, Zbigniew Zienkowski i Janusz Olejniczak. Ten zestaw nazwisk przekonywa, jaki to był uszczerbek w rocznym repertuarze! Ci, którzy pojawili się na lubelskiej estradzie, prezentowali zaś bardzo zróżnicowane kwalifikacje wykonawcze, a niekiedy banalny (w pewnym sensie, o tym za chwilę) repertuar. Powie ktoś, że różnica poziomów nieodłącznie wiąże się ze wszelką działalnością artystyczną. To prawda, ale czyż nie powinno się mieć na uwadze doskonałości, zwłaszcza, gdy wykonawca dał się już poznać z *nienajlepszej* strony? Czy właściwe jest, że pianista, który od dziesięciu lat dobrze się zapowiada, grywa za każdym pobytem w Lublinie *tego samego* kompozytora? (Trudno *ganić młodzież*, kiedy jedna z polskich pianistek zdaje się mieć od trzydziestu lat w repertuarze jedynie *Koncert f-moll* i parę chopinowskich *morceaux*).

Czy można w odstępie kilku miesięcy grać *ten sam* program recitalowy w Lublinie i w ramach Nałęczowskiego Divertimento? Wydaje mi się, że odpowiedź na te pytania jest oczywista. Nawet najwięksi pianiści, których możemy słuchać o każdej porze i w dowolnej dawce, nie ryzykują powtórzenia programu w tym samym miejscu. Tymczasem u nas tzw. utalentowanej młodzieży wybacza się „oszczędnościowe" (w sensie trudu włożonego w przygotowanie) programy zapominając o anegdocie, opowiadanej przez Artura Rubinsteina. Młody pianista przychodzi do swego profesora i powiada: *Mistrzu, wygrałem wczoraj konkurs. Och*, profesor na to, *to tamci tak źle grali?*

Tak się niefortunnie złożyło w ubiegłym sezonie, że słuchaliśmy w nadmiarze Chopina (zwłaszcza Koncertów). Bez względu na przyczyny jest to zjawisko z wielu względów niekorzystne, jakkolwiek słuchanie Piotra Palecznego to przyjemność. Skoro jeszcze o pianistach mowa, to obok Palecznego postawiłbym Lidię Grychtołównę, a w pewnym oddaleniu Elżbietę Karaś-Krasztel, Andrzeja Bereżyńskiego i Waldemara Malickiego. O występie (niestety, nie pierwszym) Marii Magdaleny Janowskiej-Bukowskiej da się powiedzieć tylko tyle, że jakkolwiek sztuka bardzo się dziś zdemokratyzowała, to nie należy rozbudzać w słuchaczach przekonania, że każdy może wyjść na estradę i zagrać.

Spośród pozostałych solistów największe wrażenie sprawiła Stefania Woytowicz, realizująca partię sopranu w *Symfonii Pieśni Żałosnych*. Również na bardzo dobrym poziomie stał recital Leszka Kędrackiego (klawesyn) i Andrzeja Orkisza (wiolonczela). Miłą niespodzianką były *Wariacje „Rococo"* Czajkowskiego w wykonaniu Wandy Głowackiej, wiolonczelistki niezwykle muzykalnej, wrażliwej, wykorzystującej wszystkie atuty młodości, a przy tym zdumiewająco dojrzałej — to z pewnością jeden z największych naszych talentów ostatnich lat.

Zaskakuje w tym pobieżnym przeglądzie brak nazwisk wokalistów. Istotnie, w minionym sezonie nie było recitali wokalnych, a i form oratoryjnych mniej niż zwykle: wspomniana *Msza* Mozarta i *Pasja*, a poza tym *Requiem* Cherubiniego, które jest w stanie zainteresować chyba tylko historyków muzyki! Szkoda, że „spadło z planu" rzadko wykonywane *L'Enfance du Christ* Berlioza, szkoda też, że nie przewiduje się prezentacji oratorłów czy kantat barokowych (Haendel, Scarlatti, Pergolesi, kompozytorzy polscy), dzieł Liszta, Messiaena (myślę o *Transfiguration de Notre Seigneur Jésus Christ*) czy Góreckiego (*Beatus vir*). Nie tak dawno mogliśmy też posłuchać Schubertowskich cyklów *Schwannengesang* czy *Die schöne Müllerin*, czy możemy mieć nadzieję, że Filharmonia do tych tradycji wróci?

Wiadomo, że najwybitniejsi polscy śpiewacy nie mają prawie wolnych terminów; nie wszyscy też akceptują propozycje recitali czy repertuaru oratoryjnego. W ostatnich latach dochowaliśmy się jednak grupy młodych śpiewaków, laureatów rozmaitych konkursów, którzy — jak wiem — nie narzekają na nadmiar zaproszeń do krajowych filharmonii; dość tu wymienić Alicję Świątek, Olgę Szwajgier, Henrykę Januszewską, Ewę Kowalczyk czy Piotra Kusiewicza. Każde z nich może przedstawić pełny recital, a w jego ramach pieśni Wolfa, Schumanna, Liszta, R. Straussa, de Falli, Webera, Ivesa. Kiedy ostatnio słyszeliśmy utwory wokalne tych kompozytorów w Lublinie? W przypadku recitali jestem zwolennikiem programów monograficznych lub ograniczonych do 3—4 nazwisk, takie bowiem rzeczywiście przystoją estradzie filharmonii, rozmaite zaś składanki arii, pieśni i piosenek są często świadectwem niższych ambicji lub węższego repertuaru.

Wracając do pytania postawionego na początku, uważam sezon poprzedni za nie spełniający nadziei, jakie można było w nim pokładać, zważywszy na jubileusz. Przypominał bardzo długi obiad, w trakcie którego serwowano dania wyborne, jak wymienione na wstępie *chevaux de bataille* w rodzaju *Strasznego dworu* czy *Pasji*, w otoczeniu potraw mniej świetnych, sporządzonych w pośpiechu czy też przez mało starannego kucharza, które — zważywszy tradycje domu — mogły z lekka zaniepokoić gości. Nie było, na szczęście, rzeczy niestrawnych (poza ewidentnym zakalcem, jakim okazał się Mozart w ujęciu p. Bukowskiej). I jakkolwiek sezon 1979/80 trzeba uznać — zachowując proporcje — za dobry, to lubelska Filharmonia przyzwyczaiła nas do stosowania wyższych kryteriów oceny.

I tu z przyjemnością muszę stwierdzić, że plan repertuarowy na ostatni kwartał tego roku sygnalizuje powrót do dobrych tradycji: są renomowane nazwiska, jest duża grupa młodych wykonawców, no i zróżnicowany program, w którym dostrzegamy m. in. *Requiem* Mozarta

Koncert fortepianowy B-dur Brahmsa, *Requiem* Verdiego, *Koncert skrzypcowy A-dur* Mozarta i trochę muzyki dawniejszej, w tym utwory Franciszka Lessla. Jeśli tylko zapowiedziani soliści dopiszą, jeśli nie zmienią programu, to z pewnością nie zabraknie nam wrażeń takich, jakie stały się naszym udziałem podczas inauguracyjnego koncertu (jako soliści wystąpili Piotr Paleczny i Zbigniew Zienkowski, w programie Brahms i Mozart). O tym jednak napiszę przy okazji omówienia muzycznych wydarzeń października.